№ 1. Warszawa, dnia 2 Stycznia (21 Grudnia) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

NOWY ROK.

Nowy rok dziedziczy w Europie po minionym mnóstwo zagadek i jeszcze więcej smutków. Na wszystkie dziedziny życia zapadł mrok, niema narodu, któremu by przyświecały jasne brzaski nadziei. Polityczny system świata ma obecnie swoje ognisko w Berlinie, a z Berlina rozchodzą się tylko odnogi raka, który toczy społeczeństwa. Wraz z potężnym człowiekiem, który Herkulesową siłą wstrzymuje rozwój świata, starzeje się cała cywilizacya lub udaje zgrzybiałą. Godła, zasady, cele zniżyły się do jego wstecznych zamiarów, o ile nie leżą zdeptane pod jego nogami.

Dalże on chociaż swojemu narodowi szczęście? Bynajmniej. Pomimo całego bałwochwalstwa dla twórcy jedności niemieckiej, nie odzywają się stamtąd głosy zachwytu i dziękczynień za dolę teraźniejszą. Nie karmi i nie odziewa nikogo to ogólne przekonanie, że Bismark przędzie losy Europy a jedynie czczona przez niego armia jest postrachem dla wszystkich państw. Już czcza duma napasła się tą wiarą, która coraz bardziej ukazuje swą próżnię. Postęp umysłowy zwolniał, naród zgina się pod ciężarem podatków, czynniki ekonomiczne działają leniwie, nędza rozpościera się jak bagno, na którem płoną socyalistyczne ogniki. Dopóki żelazna ręka kieruje zardzewiałą i popsutą maszyną rządów, można gryźć biedę w bezpieczeństwie. Ale co będzie, gdy tej ręki zbraknie, a długiej pracy ona już nie obiecuje? Co będzie — kto wywróżyć zdoła, to tylko pewna, że każdy niemiec, oddalony od „gadzinowego źródła“ i nieczerpiący zeń zadowolenia, na nowy rok życzy sobie i swoim rodakom, ażeby skąpiej spadały na nich dobrodziejstwa „nowej ery.“ Widzi bowiem, że nie bogaci się jego wiedza, nie uszlachetniają uczucia, nie mnożą środki materyalne, że ideałów narodowych strzeże żołnierz z nabitym karabinem. Germania zbiera tylko obfite plony z posianego przed kilkunastu laty strachu, na którym osiadł zwykły w takich ziarnach grzybek nienawiści. Wszyscy boją się jej — i wszyscy nienawidzą. A ta nienawiść, jako okrasa wewnętrznej ruiny i zatargu, ani posilną, ani smaczną przyprawą nie jest.

Niewesoło również wita rok nowy nieprzyjaciółka Niemiec — Francya. Rodzi ona młody ustrój i rodzi go w wielkich bólach. Z jednej strony obciążają jej organizm stare ołowie, z drugiej — porywają do niebezpiecznych kroków świeże prądy. W jej rządzie, jak w kotle, wrą najsprzeczniejsze żywioły, podpalane namiętnościami rasy burzliwej. Czem obecna Francya jest? Czy rzeczpospolitą zachowawczą, umiarkowaną, lub radykalną? Czy ona może nazwać się rzeczpospolitą utrwaloną? Czy jej steru nie ujmie któregokolwiek dnia awanturniczy burzyciel lub kopalny pretendent? Kto wie! Ta epoka wrzenia i niepewnych stosunków przynosi nietylko szkody krajowi, ale całej Europie. Wszystkie pozory i ceremonie uczestnictwa Francyi w sprawach europejskich pozostały, ale jej wpływ zmalał, zniżył się do czczych form. Naród, który tak długo dyktował światu prawa, który przewodniczył postępowi, którego kierunek odbijał się w życiu wszystkich państw, dzis jest stadem zażartych między sobą wilków, o tyle lekceważonych, że powstrzymuje ich wyskoki na zewnątrz las celnie wymierzonych luf.

Smutnem okiem patrzy w swą przyszłość skazana bezkrólewiem na długą zawieruchę Hiszpania, nie promienieją szczęściem Włochy, nie śpi spokojnie na nożach walk plemiennych Austrya, nie umiera z uśmiechem na ustach Turcya. A co rok nowy przyniesie ludom słowiańskim na Południu? Najbardziej dręczącem jest to pytanie dla bułgarów, którzy, obdarci i strudzeni, wiszą na włosku kaprysów dyplomatycznych. Pomimo bowiem otrąbywanej na wszystkie strony „zgody“ mocarstw, widzimy tylko ustawiczne krzyżowanie się zabiegów, intryg i podstępnych planów.

Jednemu tylko narodowi w Europie zaświtała z nowym rokiem jutrzenka lepszej doli. Mówimy o Irlandyi. Ta żywcem połknięta a niestrawiona zdobycz zaczyna domagać się, ażeby ją wypruto z wnętrza smoka angielskiego i usamowolniono. Dzięki stosunkowi stronnictw po ostatnich wyborach, irlandczycy stanowią swymi głosami wagę, zdolną przechylić szale na stronę whigów lub torysów. Jak to zaznaczyliśmy dawniej, obie te kupieckie firmy usiłują przelicytować się w zyskaniu sprzymierzeńca; żadna wszakże nie ofiaruje tyle, ile on żąda. Najwyżej w imieniu liberałów (którzy go już ciągną za poły) postąpił Gladstone, który godzi się na osobny parlament irlandzki. Ale jak cały ten człowiek jest mieszańcem, tak też i jego projekt. Sejm irlandzki, według niego, byłby tylko ciałem wyrażającem życzenia, które angielski mógłby rzucać do kosza. Nadto członkowie pierwszego uczestniczyliby zarazem w drugim i występowali w dwu odmiennych skórach. Naturalnie ów półśrodek, pozbawiony rozumnej idei i naprędce uszyty z konieczności, ukazuje całkiem swoje partactwo. Parlament, skazany na uprawę niebieskich migdałów, których nigdy nie zrywa, może zadawalać lorda angielskiego, strojącego się w stare szaty z liberalną podszewką; ale dla narodu czującego swoją godność,

walczącego o samorząd i prawa słusznej odrębności, byłby mniej, niż niczem, bo urągowiskiem. Przywódca też irlandczyków, w którym anglicy powinniby już przestać widzieć gila, bo im głęboko wbijał swoje tępe szpony—Parnel nie złapie się na te plewy, które mu Gladstone tak szczodrze sypie. Widzi on bardzo jasno nietylko korzyść rozstrzygającego stanowiska swej partyi, ale nadto siłę potęgującego się ruchu narodowego, który już i śród anglików zyskał pewne uznanie. Od tak dawna przecie z Irlandyą nie układano się — a właściwie istotnego, odrębnego parlamentu nigdy ona nie miała. To bowiem widmo takiej instytucyi, które istniało przed stu laty, nie zasługiwało na tę nazwę.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W tygodniu świątecznym zwykle nawet polityka odpoczywa; obecnie jednak tyle zebrało się nieodrobionych zaległości, że o żadnych wakacyach niema mowy. Zawieszenie broni między Serbią i Bułgaryą doszło do skutku i obie armie powróciły do domów: pobita — w rozprzężeniu zupełnem, zniechęcona i szemrząca, że aż nadzwyczajne sądy wojenne przywracają w niej porządek, skazując na śmierć dziesiątki ludzi; zwycięzka w tryumfie, witana uroczyście, dumna i wesoła. Książe Aleksander wjechał do Sofii na czele wojska, tłumnie zebrana ludność urządziła mu owacyę, podczas której naglezagranohymn rosyjski i powtórzono go kilkakrotnie. Za pomocą muzyki rząd i naród bułgarski wyrazili żal za grzechy, obietnicę poprawy i ta mowa tonów zrozumianą została, gdzie należy. Od dnia tego wątpić nie można o pomyślnem rozwiązaniu sprawy połączenia obu Bułgaryj; tymczasem jednak ulegnie ona pewnej zwłoce, na pierwszym planie bowiem stoi zawarcie pokoju zSerbią, co jeszcze nie prędko zapewne nastąpi.

Turcya, która pozostawiła swego lennika bez pomocy, występuje teraz w roli gorliwej jego opiekunki. Porta zażądała, żeby układy o pokój prowadził jej pełnomocnik i odrazu stawia za warunek wypłatę przez Serbię kontrybucyi. Co dziwniejsza, że rząd bułgarski chętnie przyjmuje to pośrednictwo. Trudno odgadnąć, jaki cel w tej komedyi ma Turcya; Bułgarya zaś bierze w niej udział dlatego, że spodziewa się tym sposobem zaskarbić sobie względy sułtana i uniemożliwić mieszanie się Austryi, życzliwej dla króla Milana.

Pomimo zapewnień, że widnokrąg polityczny na półwyspie bałkańskim wyjaśnia się, Turcya nie zaprzestaje uzbrojeń. Zgromadziła ona 300,000 wojska, zaciągnęła nową pożyczkę wojenną i zamówiła znaczny zapas broni. Te przygotowania na wielką miarę mają niby służyć jako środki ostrożności w razie zatargów z Grecyą.

W dniu 28 grudnia zebrał się w Paryżu kongres dla wyboru prezydenta. Monarchiści urządzili kilka scen hałaśliwych, z tego powodu, że parę departamentów, w których unieważniono wybory, nie miało przedstawicieli i nie przyjęło udziału w głosowaniu. Ponieważ Brisson cofnął swoją kandydaturę, wybór Grevego nie przedstawiał wątpliwości: jakoż na 589 otrzymał on 457 głosów.

Gabinet Brissona w ciągu kilku dni przedświątecznych znajdował się w ciężkich opałach, z których wyszedł szczęśliwie wprawdzie, ale tryumf jego przypomina zwycięztwo Pyrrhusa. Po namiętnych rozprawach Izba deputowanych zatwierdziła żądany kredyt na utrzymanie władzy francuskiej w Tonkinie i Anamie — większością 4 głosów. Radykalni i monarchiści pragnęli opuszczenia kolonij, i gdyby nie pomoc niespodziewana kilku ultramontanów, którzy głosowali za utrzymaniem panowania francuskiego w Tonkinie ze względów religijnych, rząd poniósłby porażkę. Ale chociaż zwyciężył — Brisson zamierza podać się do dymisyi. Zapewne w celu obrony zagrożonej polityki kolonialnej rząd francuski pospieszył zawrzeć pokój z howasami. Na mocy układu Rzeczpospolita rozszerza posiadłości swoje na Madagaskarze i otrzyma 10 milionów franków wynagrodzenia.

Przywódca opozycyi w sejmie chorwackim Starczewicz i towarzysz jego Granicz skazani zostali na trzymiesięczny areszt za napaść na rząd. Oprócz tego pierwszy z nich na pozbawienie stopnia doktora praw (?) i patentu adwokackiego. Po przeczytaniu wyroku z pomiędzy publiczności wyszedł młody człowiek i zwracając się do sędziów zawołał: Bestye jesteście nie ludzie! Na szubienicę was! Schwytany, zeznał że jest piekarzem, przy badaniu zelżył znowu urzędników, za co skazano go na cztery miesiące więzienia.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Lwów, dnia 26 grudnia 1885.

Zdobycze autonomiczne rusinów i kwestya zgody. — Wskazówki ubiegłego roku i sprawa programu.

Tylko co przerwana sesya sejmu lwowskiego zaznaczyła się dwiema uchwałami, mającemi niepoślednią doniosłość dla uregulowania naszych stosunków narodowościowych, chociaż niezmiernie dalekiemi od ich zasadniczego załagodzenia. Mam tu na myśli uchwałę, powziętą w komisyi szkolnej względem wniosku p. Romańczuka, żądającego większych praw dla rusińskiego języka w szkołach ludowych i średnich, oraz wybór nowego członka do wydziału krajowego.

Wniosek p. Romańczuka, postawiony jeszcze na przeszłorocznej sesyi sejmowej, obecnie długo był osią, około której obracały się rozmowy wszystkich ludzi, dbałych o sprawy krajowe. Prawdę mówiąc, nie tyle rozbierano sam ów wniosek, żądający pewnych, wcale niezasadniczych i nie daleko idących zmian w ustawie szkolnej, ile raczej rzecz, którą starano się całkiem zewnętrznie z nim związać, mianowicie osławioną „zgodę z rusinami.“ Proces tej zgody, jak dziedziczna choroba, wlecze się u nas jeszcze od 1848 roku, kiedy to na zjeździe słowiańskim w Pradze uchwalono pierwsze, i, z żalem wyznać trzeba, najgłówniejsze a dotąd niespełnione punkty pojednania. Od tego czasu kwestya poruszaną bywała bardzo często: w porę, czy (zwykle) nie w porę podnoszą ją polacy, gdziekolwiek chodzi o jakie maluczkie ustępstwo na rzecz rusinów; ci ostatni znowu podjęli ją raz tylko zasadniczo na sejmie r. 1869, przez usta Ławrowskiego— ale nie doczekała się żadnego rozwiązania. Dla każdego zresztą, kto zna naturę stosunków społeczno-politycznych, z góry musi być jasnem, że na drodze uchwał parlamentarnych sprawa ta rozstrzygniętą być nie może, że rozwój życiowych czynników i sił stwarza, acz powolnie, ale nieprzeparcie to, czego żadna uchwała stworzyć nie może. Jeżeli t. zw. „kwestya rusińska“ dziś stoi na punkcie całkiem innym, aniżeli w r. 1869, zawdzięcza to nie parlamentom, nie sej-

---

POWIEŚĆ.

MOJA GŁOWA.

W bogatej spuściźnie skłonności i uzdolnień, jaką człowiek, przychodząc na świat, otrzymuje po swych wszystkich przodkach, zdaje się, brak dotąd instynktowego ograniczania swej swobody. Dziecko ją lubi, może bardziej, niż ci nawet, którzy za nią życie poświęcają. Ile ono cierpi przy każdem uderzeniu się o twardy warunek bytu, przy każdem wciśnięciu się w konieczne jego formy!

Zobaczyło w zwierciedle swoją postać— biegnie do niej z uśmiechem i gdy chce pocałować własne odbicie — rozbija kosztowną płytę szklanną. Za szkodę ponosi karę, która mu raz na zawsze zapowiada, że zwierciadeł rozbijać nie wolno nawet dla pocałowania swego obrazu.

Ujrzało świeżo rozwinięte w doniczkach kwiaty — zerwało je i przystroiło sobie główkę. Skrzyczane za to lub otrzepane, dowiaduje się, że kwiatków z doniczek zrywać nie wolno.

Chociaż wszakże pozwala nakładać sobie pęta, nieodrazu oswaja się z niemi i usiłuje odzyskać straconą wolność. I ja robiłem to, co zapewne robią wszystkie dzieci: kryłem się w jakiś kąt, w jakieś ustronie i tam dogadzałem swoim pragnieniom, przekonany, że mnie nikt nie krępuje. Skromne to były pragnienia — kodeks ich nie ograniczał, katechizm nie potępiał, tylko nauczyciel prześladował. Bo cóż np. kodeks albo katechizm mogą mieć przeciwko wykręcaniu na wiosnę fujarek? Nauczyciel, który nie znosił uśmiechu na mojej twarzy i tak skwapliwie uciszał wszelką moją wesołość, jak gdyby cała natura wraz z ludźmi wiecznie spała, a jam ją hałasami budził — ten srogi mistrz surowiej mi zabronił obcinania gałązek z wierzby, niż Bóg pierwszym rodzicom owoców z drzewa wiadomości. Zazdrościłem nasemu kozłowi przywileju łażenia po wszystkich wierzbach — ale poddałem się zakazowi.

Razu pewnego, zrozpaczony i podrażniony ustawicznemi napomnieniami, uciekłem w pole z zamiarem swobodnego udawania głosu sowy, którego mnie pastuszek za dwa jabłka kryjomo nauczył. Lipcowe słońce zlewało na mnie potoki gorących fal, które wsiąkały w odzież, w ciało. Zrzuciłem kapelusz, zrzuciłem zwierzchnie ubranie, i niosąc je w ręku, biegłem — dokąd? Gdziekolwiek, aby tylko po za granicę czujności mojego nauczyciela. Przede mną roztaczał się obszerny łan zboża. Wszedłem w sam środek niwy i położyłem się śród wysokiej pszenicy. Cisza — kłosy nawet nie drżą! Czasem zaszeleści konik polny lub zawiśnie na słomie pstruszka — zresztą milczenie. Po chwili przesunął się sąsiednią bruzdą sznurek młodych kuropatw, które spostrzegłszy mnie, pisnęły i znikły. Odtąd już nic nie zakłócało mojego spokoju a drobne szmery uwydatniały mi tylko głębokość ciszy. Zapatrzony w niebo, którego błękit wybielił się światłem słonecznem, rozmyślałem:

— Jakże ja tu jestem szczęśliwy, swobodny! Ani ten konik polny, ani ta pstruszka, ani nikt nie zabroni mi, czego zapragnę! Mogę śmiać się, płakać, uciąć sobie nos, mogę nasładować sowę...

I złożywszy ręce huknąłem.

Ale w tejże chwili huknął nade mną gruby głos:

— A ty...

Dalszy ciąg tego grzmotu pomijam, gdyż

mom, lecz wewnętrznej, cichej pracy inteligencyi rusińskiej, rozwojowi umysłowemu rusińskiego ludu; i że jeżeli dziś takie drobne wnioski, jak szkolne Romańczuka, nie znajdują ani w sejmie, ani śród klas oświeconych dostatecznego poparcia, winny temu nie tyle owe warstwy społeczeństwa polskiego, które od r. 1869 niczego się nie nauczyły i niczego nie zapomniały, lecz niedostateczny jeszcze rozwój rusinów, którym i takie drobne ustępstwa są potrzebne i którym nawet takie ustępstwa mogą być odmówione.

Znane są czytelnikom *Prawdy* losy wniosku Romańczuka. Wzięła go po ogólnej dyskusyi w sejmie pod obradę komisya szkolna, gdzie zaczęto go siec i krajać skalpelami krytyki i mędrkowań. Tymczasem skończyły się posiedzenia sejmowe— wniosek odstąpiono wydziałowi krajowemu do dalszego rozpatrzenia. Wydział krajowy, aby pokazać, że sprawy nie zasypia, odstąpił go Radzie szkolnej do dalszego rozpatrzenia. Rada szkolna, zajrzawszy w samą głąb duszy wniosku i porównawszy go z paragrafami ustaw, oświadczyła się przeciw niemu i zaproponowała natomiast utworzenie jeszcze jednego rusińskiego gimnazyum w Przemyślu. Z taką rezolucyą powędrował męczennik nazad do wydziału krajowego. Ten, chcąc zasięgnąć jak najszerszej opinii o tej sprawie, rozesłał zapytania do wszystkich wydziałów powiatowych, t. j. urządził rodzaj plebiscytu—środek dotychczas u nas niebywały. Wyszło to, co wyjść musiało w obecnych okolicznościach— wstyd. Część wydziałów nie odpowiedziała wcale, część oświadczyła się za otworzeniem drugiego rusińskiego gimnazyum, część za wnioskiem Romańczuka takim, jakim on jest, część zaś za zupełną lub niezupełną dwoistością wszystkich szkół, część zaś (żeby i tego nie brakowało!) za jakiemkolwiek bądź załagodzeniem sprawy rusińskiej. Rozumie się, że w Przemyślu i wydział powiatowy i rada miejska zaprotestowały przeciw założeniu tam gimnazyum rusińskiego, wróżąc stąd, jeżeli nie całkowitą zgubę dla powiatu, to przynajmniej upadek zakładu.

Taki to materyał otrzymała obecnie komisya sejmowa dla ostatecznego rozcięcia węzła. Uchwały jej, które z początkiem nowego roku przedstawione będą sejmowi, są połowiczne i wcale nieodpowiadające oczekiwaniom samych polaków. Jakie będą ostateczne losy tego wniosku, w swoim czasie doniosę nie omieszkam. W każdym jednak razie już te niezwykłe drogi, które on dotyczas przeszedł, dowodzą, że i polacy uważają sprawę rusińską w obecnej chwili za nader ważną i drażliwą, którą trudno ubić po cichu na gabinetowej drodze.

Tegoż dowodzi również druga, obecnie załatwiona sprawa: wybór jednego członka najwyższej władzy autonomicznej—wydziału krajowego. Dawno już opinia publiczna domagała się wprowadzenia przedstawiciela rusinów; dopiero teraźniejszy sejm spełnił to życzenie, powołując p. Bereżnickiego. Lecz i tym razem nie obeszło się bez przykrych, drobnostkowych oporów i intryg, tak że wezwanie p. Bereżnickiego na członka wydziału krajowego raczej przypisać można naciskowi rządu (namiestnika). niż jednomyślnej zgodzie sejmującej szlachty.

Jak widzimy, rok ubiegły ze wszystkiemi swemi stratami i zdobyczami dajo rusinom galicyjskim nie nową. ale bardzo dobrą naukę, która może od biedy wystarczyć im za program na długie jeszcze lata. Gdziekolwiek wystąpili na pole polityczne po nowe zdobycze, wszędzie ponieśli dość dotkliwe, moralne i materyalne klęski. To tylko zostało w ich ręku jako prawdziwa, pozytywna zdobycz, co było wypływem wewnętrznej, postępowej pracy. *Sapienti sat!*

J. Franko.

SOCYOLOGIA.

DARWIN PRZED SĄDEM TRUTNIÓW.

Lwów, 23 grudnia.

Przed kilku dniami wyszedł odczyt prof. Dybowskiego: „Rzut oka na historyczny rozwój zoologii. Jest to ten sam odczyt, który przed dwoma miesiącami wywołał u nas taką wrzawę, że się ona odbiła echem aż w dziennikarstwie wiedeńskiem. Korzystam z ukazania się w druku tej pracy, ażeby pomówić obszerniej o sprawie prof. Dybowskiego, która nabrała szerokiego rozgłosu i która rzuca jaskrawe światło na stosunki naszej prowincyi.

Kto wie, jakie stanowisko pod względem oświaty zajmuje Galicya, w której najpokupniejszemi książkami są „senniki“ i „złote ołtarzyki,“ ten nie mało się zdziwi, gdy usłyszy, że od roku jest ona polem walki o — darwinizm. Zdziwienie zaś wasze będzie tem większe. gdy się dowiecie, że hasło do tej walki wyszło od — duchowieństwa. Co mogło spowodować kler nasz do podjęcia walki przeciwko zasadom, które na zbyt wielką popularność nigdy u nas liczyć nie mogły? Miałyżby one rzeczywiście przeniknąć jakimś cudem tak głęboko w nasze społeczeństwo, żeby potrzeba było w obronie dogmatów, przez nie zagrożonych, występować aż z kazalnicy?

Że dolatują do nas od czasu do czasu słabe powiewy prądów zachodniej cywilizacyi — trudno zaprzeczyć. To też wiemy tu coś i o pozytywizmie i o darwinizmie. Jednakże to coś jest tak mętnem i wypaczonem, że ani umiemy zdać sobie z tego sprawy, ani domyślamy się. jaka jest doniosłość naukowa owych powiewów. Zresztą zachowujemy się wobec nich całkiem obojętnie. Bez wątpienia są ludzie, którzy usiłowali zbadać, jaka jest istota panujących dziś na Zachodzie teoryj. Większa część atoli, albo niema odwagi przyznawać się do nich, albo też zachowuje stanowisko wyczekujące, twierdząc, że nie są one jeszcze dowiedzione i powszechnie przyjęte. Jakie tu są dowody wymagane — trudno odgadnąć, ale za to łatwo się domyśleć, co znaczy zarzut, że nie są powszechnie przyjęte. Znaczy to, że dotąd ani kościół, ani władze polityczne nie udzieliły im swej sankcyi.

Bacząc na ten stan rzeczy, nie możemy zrozumieć pobudek, które skłoniły nasze duchowieństwo do tak gorliwej agitacyi przeciwko darwinizmowi. Ta bowiem maluczka garstka jego wyznawców, jaka się wśród nas znajduje, nie może być groźną kościołowi i jego sługom, których potęga i powaga gruntuje się na niewinności — rozumów ludzkich. Żeby zaś te rozumy zarazić jadem przewrotnych nauk i popchnąć obojętne i znałogowane do pewnych pojęć i praktyk masy na nowe tory — potrzebaby pracy nie jednego, ale bardzo wielu Herkulesów.

Pragnąc więc zrozumieć i wytłomaczyć postępowanie naszego kleru, musimy uciec się do przypuszczenia, jakkolwiek nie ręczymy, czy jest ono słuszne, pomimo że dość prawdopodobne. Przypuszczamy mianowicie, że duchowieństwo, dostrzegając w wzbiorowem życiu naszem pewne objawy, mające pozorne podobieństwo do faktów, na jakich darwinizm opiera się, przyszło do wniosku, iż objawy te są bezpośrednim następstwem szerzącej się wśród nas teoryi transformizmu. Mówię tu o wypadkach nagłego przeobrażania się niektórych jednostek, które z radykalnych wil-

---

jeśli biografowie moi zechcą ułożyć słownik wymysłów, jakimi mnie przez życie obrzucono, znajdą cały materyał w „krytykach“ pewnej części prasy warszawskiej i nie będą potrzebowali badać, czem mnie uraczył ekonom folwarku, do którego należała pszenica.

Wróciłem do domu. Stojąc pod szlużą łajań rozgniewanego nauczyciela, czułem jeden tylko smutek: stratę kotliny w zbożu, którą uważałem za schronisko wolności.

Szukałem później podobnych schronisk nieraz i tem usilniej, że z wiekiem ścieśniała mi się ciągle przestrzeń swobody. Jak wszyscy ucywilizowani członkowie mojego rodzaju zostałem pomału niewolnikiem: krochmalonych kołnierzyków, krawata, dobrego tonu, grzecznego kłamstwa, tradycyjnego obyczaju i innych praw, na których „się opiera ustrój społeczeństwa.“ Każdy dzień, niemal każda godzina wydzierała mi jakąś cząstkę woli. Daremnie wieczorem zamyślałem się w moim studenckim pokoiku i chodząc po nim, usiłowałem odzyskać stratę — mieszkający na niższem piętrze gospodarz poprosił mnie przez stróża, ażebym przerwał te nocne spacery, które mu spać nie dają. Nauczeszczanych ulicach zastępował mi drogę żebrak, na bezludnych rzezimieszek, w mieście najeżdżał mnie pędzący powóz, za miastem gonił pies, a wszędzie nie opuszczały zwyczaje i przepisy, które tamowały wszelki mój krok. Kiedyś w ogrodzie publicznym dla ochłodzenia czoła zsunąłem na tył głowy kapelusz.

— To zapalony kankanista — szepnęła jakaś strojna dama do swego towarzysza.

Zatęskniłem do innych krajów, które znałem z opisów i opowiadań, jako dziedziny ziemi obiecanej. Wyjechałem za granicę. Na komorze splądrowano mój kuferek, ale nie zapytano o paszport. W pierwszym wszakże hotelu musiałem na blankiecie policyjnym odfotografować się ze wszystkich stron. W Pradze czeskiej wziąłem z kolei na plecy tłomoczek dla przekonania się, czy tam wolno zrobić takie nadużycie porządnie odzianemu człowiekowi. Z przyjemnością zauważyłem, że nikt mnie palcem nie wytyka i nie szydzi, że żaden reporter nie zapisuje sobie tego „wypadku“ ku zabawie swoich czytelników. Położyłem kuferek i usiadłem na nim. Nikt nie stanął przedemną zdumiony lub rozśmieszony. W hotelu obejrzano mnie starannie, ale dano pokój.

—Śliczne miasto!—pomyślałem; w Warszawie nie wykręciłbym się od szyderstwa *Kuryerów*.

Nazajutrz zagadnąłem kogoś z przechodniów po czesku — odburknął i poszedł. Zagadnąłem drugiego po niemiecku — kolnął mnie wzgardliwem spojrzeniem i także poszedł. Ha, i tu nie raj, i tu wola człowieka podskubana!

Trzeba jechać dalej.

Na jednej stacyi szląskiej (w Prusach) musiałem kilka godzin czekać następnego pociągu. Było święto — przed dworcem stała gromadka chłopów. Zbliżyłem się do nich, a słysząc ich utyskiwania na gwałty w szkole i kościele, zacząłem radzić im środki obrony. W chwili największego zapału uczułem na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłem się i ujrzałem barczystego męża w mundurowej czapce.

— Pan skąd?— zapytał.

— Z Warszawy.

— Paszport pan posiada?

Pokazałem.

— Pan tu przybył podburzać obcych poddanych przeciwko rządowi. Paragraf 42 ustawy...

Jak tę ustawę nazwał i co mi zacytował, powtórzyć nie umiem, dość że ledwie zdo-

ków przemieniają się w pokorne cielęta, ssące dwie matki, albo też w złośliwe kundysy, ujadające wściekle na wszystko, co im oszczekiwać każą.

Że zdarzeń tego rodzaju nie godzi się zaliczać na rachunek darwinizmu, przyzna to każdy, kto przypomni sobie, że Darwin uczy o przemianie gatunków, nie zaś osobników; że podług niego przemiany te dokonywają się w znacznym stosunkowo przeciągu czasu, nie zaś w kilku miesiącach, a nawet tygodniach; że nareszcie głównym czynnikiem, spowodowującym te przemiany, jest, podług niego, walka o byt, nie zaś o — pieczeń. Prawda, we wszystkich wypadkach transformizmu, jakie wydarzyły się w naszem społeczeństwie, walka o cokolwiekbądź nie odegrała żadnej roli. Następowały one mocą dobrowolnego przystosowywania się do danych okoliczności. Przystosowywanie się do warunków otoczenia ma i u Darwina wielkie znaczenie, ale u niego jest ono innej zgoła natury. Polega u niego nie na maluczkości serca i giętkości grzbietu, ale na harcie duszy, na samodzielności i wytrwałości.

Zarzuci mi kto może, iż u Darwina znajdują się przykłady, dowodzące, że i osobniki podlegają pewnym przeobrażeniom. Bywa to mianowicie u gadów i owadów, których osobniki, nie tracąc nic z cech swego gatunku, zmieniają się w pewnych okresach swego rozwoju bardzo prędko. To prawda. Czy jednakże między temi przemianami owadów i gadów, a wypadkami transformizmu w naszem społeczeństwie zachodzi ściślejsza analogia, niż proste i przypadkowe podobieństwo, nie umiem na to odpowiedzieć — i pytanie to zostawiam do rozstrzygnięcia ex-tłomaczowi Darwina (obecnie redaktorowi ultrakonserwatywnego *Przeglądu*. Red.), posiadającemu niezaprzeczenie wszystkie zdolności do rozwiązania spornej kwestyi.

Poprzestając na powyższem przypuszczeniu, a przynajmniej powstrzymując się od dalszego dochodzenia przyczyn, które zniewoliły nasze duchowieństwo do kampanii przeciwko darwinizmowi, przechodzę do jej dziejów i wybuchu w sprawie prof. Dybowskiego.

Przed rokiem zawiadomiano pewnego dnia ogromnymi plakatami mieszkańców Lwowa, że ks. Zeller będzie miał w sali ratuszowej trzy wykłady o Darwinie i jego teoryi ze stanowiska przyrodniczego, filozoficznego i religijnego. Jedni z odczytujących te ogłoszenia zapytywali: kto jest ks. Zeller? Drudzy: kto jest Darwin? Ciekawość była powszechna, jakkolwiek płynęła z odmiennych pobudek. Nadszedł dzień odczytu, na który ściągnęła się znaczna gromadka słuchaczów, przeważnie, jak zwykle, kobieca. Ksiądz Zeller rozpoczął swój wykład z taką pewnością siebie, jaką tylko znaleźć można w osobach jego stanu, którym się zdaje, że przez włożenie sukni kapłańskiej nabywają prawa decydowania o najtrudniejszych zagadnieniach wiedzy ludzkiej. Snać liczył on, że łaska boża pospieszy mu z pomocą w zwalczeniu największego nieprzyjaciela kościoła. Na nieszczęście łaska boża nie dopisała mu tym razem — i pozostawiła go własnym jego siłom, które nie umiały sprostać zadaniu. Ani wymowa rzeczywiście świetna, ani dowcipkowanie zakrawające nieraz na koncepty szkolarskie — nie zdołały zakryć braku potrzebnych wiadomości. To też nie trudno było *Kuryerowi lwowskiemu* wypisać nazajutrz długi szereg grzechów, jakich ksiądz Zeller dopuścił się przeciwko elementarnej zoologii i logice. Niepowodzenie było najzupełniejsze. Uznał to sam ks. Zeller, który w następnych odczytach okazał się skromniejszym. Porażka była tem dotkliwszą dla strony wojującej, że nawet *Gazeta narodowa*, przyjaciółka bohatera, zganiła całe jego przedsięwzięcie, twierdząc, że rozstrzyganie takich zagadnień, jak darwinizm, potrzeba zostawić uczonym z powołania i że o takich ludziach, jak Darwin, nie godzi się mówić z lekceważeniem.

Potrzeba było poniesioną klęskę jakoś naprawić. Podjęli się tego ks. Semenenko z jednej, *Przegląd powszechny* krakowski z drugiej strony. Ostatni w swych artykułach przeciwko Darwinowi nie okazał się ani bardziej uczonym od ks. Zellera, ani mniej od niego dowcipnym. Inaczej pojął swe zadanie ks. Semenenko. Czy ostrzeżony przykładem swego poprzednika, czy z usposobienia bardziej wyrozumiały, albo tylko wytrawny mistrz w postępowaniu z tłumem — na konferencyach swych, miewanych w katedrze lwowskiej, rozbierał zasady darwinizmu spokojnie i z powagą, o samym Darwinie odzywał się z szacunkiem, a chociaż wykazywał niezgodność jego teoryi z nauką kościoła, nie obarczał przecież jej klątwami, ani też silił się na ośmieszanie jej przed publicznością. Ci nawet, co słuchali ks. Semenenki z uprzedzeniem, byli zbudowani jego sposobem obchodzenia się z teoryą, o której inni duchowni zwykle odzywają się, jako o wymyśle szatańskim, wymierzonym na zgubę rodzaju ludzkiego.

Ponieważ nikt nie wystąpił do polemiki z ks. Semenenką — uznano to za dowód ostatecznego tryumfu strony wojującej. Powzięto przekonanie, że darwinizm, jak ów smok, co się wije pod stopami św. Michała, stojącego na placu we Lwowie, został raz na zawsze zgnębionym i zepchniętym do czeluści piekieł. W rzeczy samej nie ulegało wątpliwości, że żadna z ogłupiałych dewotek, ani też żaden z kleryków, składających Bogu w ofierze to, co im się na nic nie przyda—rozum, nie dadzą się obałamucić szatańskiemi naukami i pozostaną na zawsze prawowierną trzodą kościoła. Od tej chwili zapanował w naszym klerze spokój i pewność siebie, jak po walnem zwycięstwie. Zapomniano na razie, że społeczeństwo nie składa się z samych bigotów i dewotek, czy może lekceważono sobie małą garstkę krnąbrnych duchów, którym odjęto możność szkodzenia.

W poczuciu właśnie tego zwycięstwa i spokoju spieszyli nasi arcybiskupi dnia 1-go października r. z. do sali uniwersyteckiej, gdzie z powodu uroczystego rozpoczęcia roku szkolnego prof. Dybowski zapowiedział odczyt publiczny—spieszyli do przybytku nauki, którego prawowierność jak dotąd, nie nastręczała żadnych wątpliwości.

Można więc sobie wyobrazić zdumienie, a następnie gniew i oburzenie naszych pasterzy, gdy usłyszeli, że profesor, zamiast mówić o Kamczatce—czego spodziewano się—opowiada o postępie, jakiego dokonała za naszych czasów zoologia, i o zasługach Darwina, którego teoryę uznał za największy nabytek wiedzy ludzkiej. Oburzenie ich doszło do takiego napięcia, że stracili moc panowania nad sobą i folgując swym uczuciom, zaczęli objawiać niezadowolenie w sposób, który wogóle dość komiczne sprawiał wrażenie. Nie brakowało wprawdzie i takich, na których ów wypadek oddziałał pognębiająco. Do nich należał przedewszystkiem pewien młody profesor, który utrzymywał, że prof. Dybowski skompromitował uniwersytet wobec władz duchownych i świeckich. Inny znowu przedstawiciel nauki winszował prelegentowi odwagi cywilnej, jak gdyby uważał, że głośne wypowiadanie swych przekonań, szczególniej w nauce, bynajmniej nie jest obowiązkiem profesora.

Ogół podzielił się na dwa stronnictwa. Jedni, utrzymując, że człowiek, którego zadaniem jest nauczanie prawdy naukowej, nie może i nie powinien kierować się ubo-

---

łałem wyśliznąć się paragrafowi 42 i tego dnia wyjechać z miejsca mojej bezwiednej agitacyi.

Nie będę tu wyliczał wszystkich rozczarowań, jakie mnie nawiedzały za granicą. Podarły się w nich pierwotne złudzenia i pod tymi poszarpanymi żaglami przypłynąłem nazad do kraju.

Więc niema na kuli ziemskiej takiego kącika, takiej krainy, w której by człowiek mógł zachować całą swoją wolę, być zupełnie sobą? Gdy mnie najmocniej osłaniał cień tej zagadki, błysnęła przede mną myśl, która oświeciła jaskrawo moją naiwność: przecież owa pożądana kraina jest, jest bliżej niż wszystkie inne, w niej posiadasz nietknięte wszystkie prawa, unieważnione wszystkie zakazy, tam tylko panuje twoja wola... Gdzie?

W mojej głowie!

Czemu tak późno zrobiłem to odkrycie? Wszakże głowę miałem zawsze z sobą, nawet wtedy, gdy mnie ekonom wypędzał z pszenicy lub przedstawiciel władzy ze stacyi szlązkiej? Prawdopodobnie nieporozumienie wypłynęło stąd, że moja głowa długo nie była usamowolnioną i że w niej przedtem panował jakiś nietolerancyjny rząd i zbyt srogie obyczaje. Zresztą kwestya ta mało mnie obchodziła wobec rozkoszy, jakiej zacząłem używać i dotychczas używam. Znalazłem na świecie maleńki zakątek, w którym mogę ciągle przebywać i który mi zapewnia wszelkie warunki osobistej swobody.

Od tej chwili obojętne są dla mnie wszelkie systemy polityczne, wszelkie nakazy i zakazy, wszelka prawomyślność i prawowierność. Jeżeli skutkiem braku wizy konsularnej na paszporcie prusacy zatrzymają mnie w Otłoczynie, to mi wcale nie przeszkadza myślą przerzucić się do Paryża i osądzić ich na zatracenie. Gdybym dziś musiał słuchać paragrafu 42 ustawy o podżegaczach, odpowiedziałbym na nią w duchu:

— Gardzę tem podłem głupstwem i tobą nadęty prusaku. Zaaresztujesz mnie niewinnie — ja cię kopnę zasłużenie.

Bo przecie chociażby on związał mnie i wsadził do kozy, nie skrępowałby i nie uwięził mojej myśli, nie zawiesiłby swobód mojej głowy, gdzie jestem jedynym panem własnej woli.

Tak samo zachowuję ją we wszystkich innych wypadkach. Siła może mi nakazać: zrób to — i zrobię, ale żadna nie może mnie ubłagać, ażebym coś uznał, czego uznać nie chcę. W mojej głowie wypowiadam głośno i szczerze istotne przekonania i uczucia, chodzę bez krawata i krochmalonych kołnierzyków, sądzę ludzi i rzeczy bez obłudy. Przymus tam żaden nie istnieje — niepotrzebny.

Ach, ilu i jakich doznaję wtedy przyjemności.

— Co za miła i ukształcona panienka — szepcze ktoś w salonie.

— Niewątpliwie — odpowiadam jako niewolnik grzeczności.

Ale natychmiast cofam się do mojej głowy i mówię sobie głośno:

— Po co ta poczwara tak uwydatnia swój mdły sentymentalizm, zwracający uwagę na jej brzydotę.

Ktoś inny zaznacza, że druga, obok siedząca kobieta zbyt często się śmieje.

I to spostrzeżenie potwierdzam a w głowie mojej wyznaję:

— Cudowne stworzenie. Motyle, pijąc słodycz z jej ust, ubarwiły je najświeższym karminem swych skrzydeł. Takie usta całować!

— Człowiek, z którym pana przed chwilą poznajomiłam — dodaje cicho gospodyni domu — jest tak rzadką inteligencyą,

cznymi względami i chować światła pod korcem, uderzali na nieprzyzwoite zachowanie się dygnitarzy kościelnych, drudzy przeciwnie twierdzili, że sama grzeczność towarzyska nakazywała wstrzymać się od mówienia wobec dostojników kościoła o rzeczach, które nie mogły być dla nich miłemi. Zapomniano tylko o tej okoliczności, że profesor, którego nikt nie zawiadomił o tem, że mają być na jego wykładzie arcybiskupi, przybył z odczytem gotowym i że na przerabianie go, albo wyrzucanie zeń ustępów nie miał ani czasu, ani możności. Zresztą Dybowski trzymał się jaknajściślej gruntu naukowego i ani na chwilę z niego nie zeszedł.

Najciekawszem było stanowisko dziennikarstwa w tej sprawie. *Gazeta narodowa* zarzuciła profesorowi brak taktu; *Kuryer lwowski* uderzył na arcybiskupów i tem poruszył gniazdo trutniów, które rzuciły się na Dybowskiego. Ex-tłomacz Darwina, przemawiając poważnie, ostrzega go, że jakiemiś wycieczkami nie zburzy tego, co wieki zbudowały. *Dyabeł* zaś krakowski, tem się różniący od biblijnego, że jest poczciwy, ale głupi, przyklasnął w niezdarnym wierszu wycieczkom *Czasu*, który ostro zganił profesora za jego odczyt, chociaż wiedział o nim tyle tylko, ile wyczytał w *Przeglądzie lwowskim*.

Należytą odprawę dał zarówno dziennikarstwu, jak i duchowieństwu J. Lam w swej kronice, która bez zaprzeczenia należy do najlepszych, jakie kiedykolwiek wyszły z pod jego pióra. To też przechyliła oną szalę opinii na korzyść profesora. Szczególniej przekonywającą siłę miała uwaga, że był czas, kiedy kościół potępiał naukę Kopernika, którą dziś uznaje za swoją; może przeto nadejść chwila, w której kościół będzie zmuszonym przyjąć także teoryę Darwina, a przynajmniej to, co z niej pozostanie.

W ten sposób sprawa prof. Dybowskiego nabrała takiego rozgłosu, że musiała w końcu oprzeć się o ministeryum oświaty. Powszechnie utrzymują, że arcybiskupi wystosowali formularz oskarżenia. Bądź co bądź ministeryum, chcąc przekonać się, czy nie było w wykładzie profesora jakichś wycieczek przeciwko religii i kościołowi, zażądało odczytu w oryginale. Dotąd nie nadeszła z Wiednia żadna odpowiedź i zdaje mi się, że—nie nadejdzie.

Władysław Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

GRZECHY KRÓLEWSKIE
W. Rapackiego.

Straszne wypadki, jakich widownią była Polska w połowie XVII wieku, służyły już niejednokrotnie za tło do opowieści historycznej. Ta bezładna walka wszystkich przeciw wszystkim, ta noc burzliwa, w której zmieszały się najróżnorodniejsze żywioły, dążenia, zachcianki, noc, rozwidniana tylko niekiedy piorunami i błyskawicami klęsk groźnych lub niespodziewanych tryumfów, to rozprzężenie wszelkich węzłów społecznych i rozpasanie wszelkich popędów ludzkich utrudnia zadanie historyka, ale dla powieściopisarza przedstawia materyał bogaty, którego wyczerpać nie łatwo. P. Rapacki, pomimo że miał tylu już poprzedników, opisujących tę epokę, potrafił w powieści swej przedstawić nietknięty dotychczas epizod dziejowy — ruchy chłopskie pod wodzą Kostki-Napierskiego. Autor nie opowiada sam od siebie, ale nadaje utworowi swemu formę pamiętnika Krzysztofa Scipiona, dworzanina króla Władysława IV. Pomysłu tego nie można nazwać szczęśliwym: p. Rapacki bowiem trafnie bardzo i wiernie kreśli wewnętrzną, duchową stronę swoich bohaterów, która właśnie najlepiej uwydatnia się w akcyi, talentowi zaś jego brak umiejętności realnego, plastycznego odtwarzarzania postaci, czego znowu wymaga forma, jaką nadał swej powieści. Sam p. Scipio schodzi w niej na plan drugi, przyjmuje bowiem w wypadkach pośredni tylko udział, ale ponieważ on sam je spisuje, więc plącze się nieraz niepotrzebnie. Autor badał epokę sumiennie nietylko w szczegółach, ale starał się zrozumieć treść i doniosłość dziejową wypadków, otóż poglądy jego i uwagi, słuszne zwykle i nawet głębokie, niezbyt licują z osobistością opowiadacza rozsądnego i uczciwego człowieka, ale bynajmniej nie orła, raczej chyba zwyczajnego, szarego wróbla.

Z tego samego powodu treść nie mogła być rozłożoną odpowiednio. Scipio najobszerniej opisuje zdarzenia, w których sam występował i dla powiązania lub wyjaśnienia ich wprowadza do dziennika swego opowiadania innych osób. Tom pierwszy właściwie jest jakby wstępem, najważniejszy zaś wątek utworu—powstanie chłopskie stanowi tylko część tomu drugiego.

Bohaterem powieści jest Szymon Bzowski, syn naturalny Władysława IV. Charakterystyka tego monarchy i opis jego dworu — to najpiękniejsze karty w utworze p. Rapackiego. Matka Bzowskiego, druga kochanka królewska Jadwiżka, mąż jej głupi i ambitny szlachcic Wypyski, dwornia królewska rozpustna, chciwa i podła, nikczemne postacie Kazanowskiego i Radziejowskiego — przedstawiają cały szereg różnorodnych typów, ale zewnętrzne ich cechy występują blado i niewyraźnie. W okropnej, skandalicznej scenie kłótni przy zwłokach króla autor miał sposobność uwydatnić różnice i odcienie charakterów działających osób. Sam Bzowski rysuje się niejasno: jest to warchoł i marzyciel, romantyk, który się urodził na dwieście lat zawcześnie. Piętno nieprawego urodzenia mogło skrzywić jego charakter, lecz, jak autor zaznacza, urok krwi królewskiej pokrywał niejako tę hańbę. Bzowski uważa się za spadkobiercę zamysłów ojca, ale nienawiść jego do szlachty przeradza te plany polityczne w żądzę krwawego obrachunku. Okoliczności osobiste popychają ku temu celowi zuchwałego marzyciela i oto wreszcie staje on na czele zbuntowanego chłopstwa jako wysłaniec króla — Kostka-Napierski. Upadek „rebelii chłopskiej“ sprowadza autor do przyczyn wypadkowych, poświęcając dla efektu prawdę realną i historyczną. Bzowskiego bowiem wydaje władzom jego kochanka, w której sercu miłość ojczyzny przytłumiła uczucie osobiste. Pomimo ułaskawienia, wydanego przez Jana Kazimierza, Lubomirski każe wbić na pal buntownika, matka jego umiera a kochanka topi się w Wiśle.

Kochanka ta, Salomea, jest zlepkiem idealnych doskonałości, owym typem „dziewicy polskiej,“ tak mało, niestety, zgodnym z rzeczywistością, aniołem bezkrwistym, przeznaczonym do nadludzkich poświęceń. Natomiast matka Bzowska należy do najbardziej udatnych postaci w powieści. Autor zręcznie bardzo uwydatnił w charakterze jej jeden rys, który nam wydać się może nienaturalnym, ale zupełnie odpowiada prawdzie historycznej. Dumna aż do przesady Bzowska przy trumnie króla-kochanka kłóci się z dygnitarzami o to, że odebrano jej i synowi majątki, które im nieboszczyk dał za życia. Przy ówczesnym stanie uspołecznienia chciwość taka kojarzyła się zupełnie z wygórowaną dumą i poczuciem godności osobistej, jak dziś jeszcze widzimy to w życiu ludu.

że, pomimo siwych jego włosów, kobiety przepadają za nim.

— Zauważyłem to — oświadczam i wołam zaraz w mojej głowie:

— Ten roznosiciel zdawkowych grzecznostek, ten organista w nabożeństwie babskich próżności, ten stary dworak, który pragnie ogrzać swe ciało przy młodych kobietach, jak przy płonącym kominku, ma być rzadką inteligencyą? Ha, ha, ha!

Posiadam stosunki w „literaturze.“ Zaśmieca ją swemi robotami pewien autor, który procesuje się ciągle z krytyką o niewypłacanie mu należnej sławy. Wlewa on i do moich uszu swe żale.

— Albo, proszę pana — mówi zwykle — ostatnia moja nowelka. Czy ona jest gorszą od najbardziej przechwalonych? Tymczasem nikt ani piśnie — tylko każdy jak pies warczy i zęby wyszczerza. Gdyby człowiek w sobie nie czerpał zachęty, złamałby już dawno pióro i plunął na te intrygi.

Nie żałuję mu współczucia, ale zamknięty w mojej głowie, zrzuciwszy maskę, wzdycham:

— Niema jednak nadziei, ażeby ten barłóg literatury przestał czerpać zachętę z siebie.

Publiczne słowo tylko do pewnego stopnia dopuszcza otwartość oraz nazywanie rzeczy i osób po imieniu. Dlatego często musimy milczeć lub półsłówkami zdradzać nasz gniew, oburzenie, wzgardę wobec najohydniejszych widoków. Chodzi po świecie, okadzany szacunkiem, jakiś łotr, prosty złodziej lub krzywdziciel — trzeba mu ustępować z drogi, bo inaczej odwoła się do sądu państwa lub opinii publicznej i zdobędzie palmę męczeństwa. Zwłaszcza śmierć jest ową królewską wodą, rozgrzeszającą najtwardsze grzechy. Umarł — to znaczy był uczciwym i zasłużonym. Przypomnę jego winy? Nie wolno. Dopiero w głowie mojej mogę mu wrzucić wszystkie brudy do trumny.

Inny szubrawiec, o tyle głupi, o ile zuchwały, a o tyle nikczemny, o ile surowy, piorunuje z ambony jakiegoś pisma lub zakłada sobie w nim kram ze szkaplerzami literackimi; mamże obwołać go po świecie właściwymi tytułami? Nie wypada. Za to w głowie mojej rozpalam hańbiące piętno i przykładam je do wytartego bezwstydem czoła przestępcy.

Jak widzisz, czytelniku, posiadam rzeczywiście kraik, którego jestem nieograniczonym panem, gdzie korzystam z bezwzględnej swobody, dokąd nie zdoła przedostać się żadna obca siła, żaden nakaz, żaden przymus. Czego pragnę — to mam, co chcę, to robię, co wyznaję, to głoszę. A pomimo, że wola moja nie ulega tam skrępowaniu, nikomu nie szkodzę. To moje królestwo bowiem jest odcięte od reszty świata, wyosobnione, opasane nieprzebytym murem, nie wiąże się z innemi, nie wkracza w ich prawa.

Gdy czasem przypadek otworzy na oścież moją głowę i wpuści do jej wnętrza ciekawe oczy, słyszę natychmiast okrzyk:

— Straże! Spuścić z łańcuchów brytany, uzbroić się w strzelby!...

Uśmiecham się wtedy i zamykam moją głowę.

Czy sądzisz czytelniku, że tylko moja być może takiem swobodnem schroniskiem? Urządź odpowiednio swoją a będziesz w niej żył również wygodnie. Powinieneś zaś to zrobić, gdyż głowa jest dziś jedynym przybytkiem szczerej woli.

W. O.

Dla uzupełnienia szeregu zarzutów zaznaczamy jeszcze, że autor nie wyzwolił swej twórczości z pod wpływów romantycznych: tajemniczość, przeczucia, widzenia itp. dodatki zdarzają się w powieści kilkakrotnie. Trzeba jednak podnieść dodatnie strony, które przeważają i czynią utwór p. Rapackiego godnym bezstronnego uznania. Charakterystyka wewnętrzna osób działających, nawet mniej wybitnych, odznacza się rozmaitością i trafnie oddaje treść ich moralnej istoty. Jedna scena pomiędzy królewiczami Karolem i Janem Kazimierzem znakomicie obrazuje różnice znamienne ich charakterów. Dworzanie, szlachta i magnaci, jakkolwiek działają bardzo niewiele, przedstawiają najróżnorodniejsze odmiany zgnilizny moralnej, naiwnego spodlenia lub tylko zwyczajnej głupoty, która nie wie, co złe, co dobre. P. Rapacki nie lęka się prawdy, nie hołduje żadnym z góry narzuconym tendencyom i nie krzywi dla nich rzeczywistości. Nie robi on bohaterów z okrutnych rzeźników, ani opojów z bohaterów dziejowych; nawet te osoby, dla których nie ukrywa swej sympatyi, mają błędy i wady, słabostki i występki, jak zwyczajnie ludzie. Solomea stanowi jedyny, niefortunny wyjątek.

Autor wiernym jest nawet w szczegółach prawdzie historycznej; jedynie rozminął się z nią co do osoby Kostki-Napierskiego, ale odstąpienie takie dozwolonem być winno powieściopisarzowi. Trzeba tylko, ażeby rozumiał on treść i znaczenie dziejowe wypadków, aby poznał to, co zwykle nazywają, duchem epoki — a pod tym względem powieść p. Rapackiego odpowiada wymaganiom krytyki. Możemy polecić ją czytelnikom tembardziej, że oprócz przyjemnej rozrywki przyniesie im ona i pożytek prawdziwy.

W—t.

Z NIEMIEC.

Berlin, 21 grudnia.

Jubileusze: Menzla, Rankego i Chodowieckiego. — A. Lindner.

Zarzut, który niemcom dawniej często czyniono, że pozwalają swoim wielkościom z głodu umierać, aby później mogli im stawiać kosztowne, marmurowe pomniki, upadł teraz zupełnie. Nauczono się już w Niemczech czcić i żyjących. Dowodzą tego dwie uroczystości, które w ostatnich czasach tu się odbyły. Przedmiotem jednej był sławny malarz, drugiej—sławny historyk. Adolf Menzel nie jest wprawdzie wielce popularnym, ale za to artystą wielkiego znaczenia. On najlepiej umiał przedstawić czasy Fryderyka Wielkiego, a nikt tak wiernie nie odzwierciedlił prądów, które wiek nasz przenikają, jak on. Kiedy przed kilkoma laty obchodzono tu jubileusz Dubois Reymonda, blisko o północy, po rozmaitych mowach i toastach wielu profesorów, powstał z krzesła niepozorny, niski Adolf Menzel, znany ogólnie ze swej małomówności, i wygłosił ku zdziwieniu wszystkich obecnych toast, składający się z jednego zdania, ale zdanie to było szczytem tego, co o wielkości znakomitego przyrodnika powiedzieć było można. „Posiadał on zmysł dla zrozumienia istoty rzeczy.“

Zupełnie to samo a nawet z większą jeszcze słusznością rzec można o Menzlu. Przejrzawszy wszystko, co wystawił, poczawszy od małych rysunków a skończywszy na mistrzowskich obrazach, zdumiewamy się przedewszystkiem nad prawdą, wiernością i prostotą, które wieją z tych utworów. Nie urok pięknego rysunku, ani barwny koloryt, ale prawda, którą oddychają wszystkie postacie, sceny i ilustracye Menzla, stanowi główną wartość jego prac. Mimo to nie stał on się tak popularnym w Europie, jak wielu innych mniej znakomitych artystów. Przyczyną tego okoliczność, że Menzel głównie, albo może jedynie jest malarzem pruskim. W tej jednostronności wszakże spoczywa także jego siła i wielkość. Okazał to dwór monarszy i wyższe towarzystwo przy zbliżającej się rocznicy urodzin artysty. Cesarz i następca tronu pospieszyli złożyć hołdy najskromniejszemu malarzowi świata; uniwersytet berliński przyznał mu honorowy stopień doktora; Wrocław, rodzinne miasto przesłało mu honorowe obywatelstwo, berlińska Akademia sztuk pięknych wyprawiła ucztę, na której wszystkie postacie jego utworów w alegoryczną związano grupę.

Również jak Menzel, tak i też Ranke, którego 90 rocznicę urodzin uczczono, jest głównie historykiem pruskim. Jednak cieszy się on zasłużoną sławą. Od sześćdziesięciu lat pracuje on niezmordowanie na polu dziejów. Ze szkoły jego wyszli pierwsi teraz żyjący badacze. A jednak dopiero w ostatnich latach stał się rzeczywiście popularnym. Gdzie szukać przyczyny tego? Oto głównie w tem, że Ranke we właściwem znaczeniu tego słowa jest historykiem gabinetowym. Więcej zajmują się nim książęta, niż narody—i możnaby prawie wierzyć w to, że i jego więcej zajmują książęta niż narody! To dziejopisarstwo dyplomatyczne, nad którem on od tylu lat z tak pomyślnym pracuje wynikiem, nie może też nigdy zdobyć powszechnej uwagi. Jego skończona przedmiotowość nie zdoła nigdy narodu rozgrzać; brakuje mu moralnej treści, etycznego tła. A wielu jest takich, którzy utrzymują, że wnioski etyczne, które wynikają z historyi, są właściwie główną podstawą. Sądząc po powodzeniu, jakiem dzieła Rankiego się cieszą, zdaje się, że pogląd ten jest przestarzały. W każdym razie nawet ci, którzy nie liczą się do szeregu bezwarunkowych wielbicieli pruskiego badacza, nie mogą zaprzeczyć, że położył on niezmierne w nauce zasługi. On wskazał historyi wyższe stanowisko, niż te, które ona dotychczas zajmowała, on nauczył szukać istoty dziejowego rozwoju nie w prawach i teoryach, które po za nim leżą, lecz w nim samym. A ponieważ on także nauczył uważać historyę każdego pojedynczego narodu jako część powszechnej, powinien mu każdy naród być wdzięcznym. To też młodzież uniwersytecka w Serbii przyjęła żywy udział w objawach czci dla wielkiego badacza.

Chociaż utwory nauki i sztuki do pewnego stopnia są własnością międzynarodową, nie przeszkadza to jednak wcale, aby każdy naród słusznie bronił swych praw do własnych wielkich synów. Polacy też powinni być dumni z odrodzenia się sławy znakomitego ich rodaka Daniela Chodowieckiego w Niemczech. Sto lat właśnie teraz upłynęło od czasu śmierci artysty; jest on już dawno tu jako twórca nowego pojmowania sztuki znany. Na bardzo małym obszarze umiał małym swoim postaciom nadać charakterystyczne cechy i wyrazić w nich całą psychologiczną wierność. Sprawiedliwie nazwano go w swoim rodzaju nieporównanym malarzem obyczajów i duszy. Szersze koło publiczności uznało dopiero przed czterema laty prawdziwą jego wielkość, gdy wystawioną została głośna „Podróż artystyczna z Berlina do Gdańska 1773.“ W rok później ukazało się 100 rysunków ręcznych z jego teki, a wkrótce każdy przyjaciel sztuki dostał na gwiazdkę wybór najpiękniejszych miedziorytów, stanowiących 136 obrazków *). Może to zainteresuje czytelników naszych, że Chodowiecki w roku jego sławnej „Künstlerfahrt“ malował także portret prymasa polskiego Podoskiego, który później umarł w Marsylii, i że obraz ten z wielu jego miniatur największy i zarazem jeden z najlepszych. Gdzie on się obecnie znajduje, nie wiem. A byłoby warto wyśledzić!

*) Szczegółową wiadomość o pracach Chodowieckiego dał czytelnikom *Prawdy* Karłowicz w jednej z korespondencyj.

Literatura nic szczególnego niemcom na gwiazdkę nie dała. Ani Jerzy Ebers, ani Gustaw Freytag, ani też Feliks Dahn nie wysłali w świat świeżych utworów. Ebers wydał tylko *Cicerone durch das alte und neue Aegypten*. Dzieło to uważnemu i pilnemu czytelnikowi więcej przyniesie pożytku, niż wiele ze staroegipskich powieści autora, których wartość, jak wiemy, sądzoną jest rozmaicie. Dziś literatura w Niemczech niżej stoi od sztuki. Książęta i potentaci finansowi popierają ostatnią — pierwsza tylko na swoją własną pomoc liczyć musi. Obraz, jaki nam przedstawia los nieszczęśliwego i wielce utalentowanego poety, Alberta Lindnera, który z głodu i nędzy dostał pomieszania zmysłów, jest zaiste bardzo jaskrawem przeciwstawieniem do owacyi i uroczystości dla Menzla, zwłaszcza że oba wypadki zdarzyły się współcześnie. Ale cóż to znaczy? Żałują wszyscy tego nieszczęśliwego marzyciela, robią składki dla pozostałej rodziny—a wkrótce zapomną o wszystkiem i znowu koło kręcić się będzie. Tymczasem uczeni estetycy i znawcy sztuki sprzeczają się: czy posągi powinny być malowane, czy nie? Jedni utrzymują, że to już „stanowisko obalone,“ drudzy znowu twierdzą, że jest to najpiękniejsza ozdoba sztuki. Kto ma słuszność— nie rozstrzygam; wiem tylko, że biedny Albert Lindner cierpiał głód i teraz jęczy jako waryat ten sam poeta, któremu naród niemiecki przed 10 laty przyznał nagrodę Schillera (Schillerspreis) za dramat *Brutus und Collatinus*, i który stworzył *Bluthochzeit*—jedną z najsilniejszych tragedyj. Wobec tego jest dla mnie rzeczywiście zupełnie obojętnem, czy mamy posągi malować, czy też nie?

Zresztą pod tym względem, jak zaznaczyłem wyżej, zmieniają się stosunki na lepsze, a biedny Lindner po części sam zawinił w swojem nieszczęściu. Wypadek ten wszakże pozostaje ostrzeżeniem dla narodu niemieckiego, ażeby swoich poetów nietylko czcił, ale i opatrywał.

Germano-Polonus.

TEATR FRANCUSKI.

Paryż, 22 grudnia.

(Georgette Sardou i Sapho Daudeta).

W teatrze wystawiono naprzód dwie sztuki, budzące ogólny interes. Są to *Georgette* Sardou i *Sapho* Daudeta. Dramat Wiktoryna Sardou obraca się około zwykłego tematu sceny francuskiej—małżeństwa i miłości. Georgetta jest czystą i pełną zalet dziewczyną, ma jednak tę wielką wadę, że matka jej ongi spędzała młodość w *brasserie à femme*—jak się dziś mówi w Paryżu. Z otoczenia tego wyszła jednak następnie a nawet poślubiła człowieka poważnego i majętnego, arystokratę, stała się przytem najgodniejszą jego połowicą. Gdy córka jej dorosła, występuje oczywiście sprawa jej zamążpójścia. O dawnych grzeszkach matki zapomniano, pamięta o nich tylko krewniak pewnego młodego człowieka „z dobrej familii,“ który zakochał się na zabój w Georgecie i zamyśla prosić o jej rękę. Matka drży oczywiście na samą myśl, że przeszłość jej wyjść może na jaw i zniszczyć szczęście dziecka; zaklina więc owego kuzyna a swego dawnego znajomego, żeby tajemnicę ściśle zachował. Jegomość ów jednak po długim namyśle postanawia wy-

jawić wszystko, czem zrywa zamierzony związek. Na tem wątek się kończy, autor jednak rzecz tak przedstawia, że sztuka niema żadnych wniosków, żadnej tendencyi. Dumas zamyka zwykle swe utwory paradoksami, paradoksy te jednak stawia śmiało i kantem, gdy Sardou woli rozrzucać znaki zapytania. Sądzę, że gdy na scenie nie daje się o tyle wiernego obrazu życia, żeby sam on mówił za siebie, lecz buduje się mniej lub więcej sztuczny, należy dobudować i wnioski, ażeby utwór nie przedstawiał gmachu bez nakrycia. Nie mając przytem dokładnego wyobrażenia o logicznej i harmonijnej całości trudno nawet o dobre fundamenty.

Sapho Daudeta przerobioną została przez autora przy pomocy Malota z powieści pod tymże tytułem, która ukazała się w roku zeszłym i znaną jest powszechnie. Wystawiono ją w *Gymnase* i paryżanie tłumnie spieszą do teatru. Nie widziałem jeszcze tej sztuki na scenie, polegam jednak tym razem na zdaniu Sarceya, że praca ta jako dramat nieudatna zupełnie. Wiadomo, że treścią powieści sympatycznego autora jest *collage*, t. j. pożycie młodego człowieka, przygotowującego się do biurokratycznego zawodu, z jedną z tych kobiet, tak częstych na bruku paryskim, która z wieloma dzieliła już poprzednio mieszkanie. Sapho jest piękną i kocha namiętnie swego młodego Gaussina, wskutek czego on, dłużej niż każe paryski rozsądek, przeciąga ten stosunek, przez co psuje sobie nieco karyerę, a nawet zrywa uplanowany już zupełnie korzystny ożenek... Interes powieści, napisanej z wielkim talentem, leży w psycho-fizjologicznych motywach tego związku, odtworzonych przez autora mistrzowsko. Całej walki wewnętrznej nie można atoli przedstawić było na scenie, przez co dwie główne postacie wyszły bezbarwnie i nudnie. Sztukę ratują jednak nakreślone żywo i wyraziście sylwetki drugorzędne, w których widać odbicie otaczających zwyczajów i miłosnych powikłań. Nie wiem, czy pokusi się kto o przerobienie *Safony* dla naszej sceny, wątpię jednak, czyby u nas była rozumianą. W Paryżu co innego; tu jest to jedna z palących kwestyj dnia. Nasze obyczaje nie doszły jeszcze do takiego zróżniczkowania stosunków małżeńsko-miłosnych i brak nam w tych sprawach otwartości, jaka cechuje francuzów. Na paryskim bruku żyją dziś całe legiony kobiet, które nie są bynajmniej nierządnicami w zwykłem, policyjnem znaczeniu tego wyrazu. Nie są to istoty wyzute z wszystkiego, które cynicznie sprzedają swe wdzięki przechodniom, lecz młode rozwódki, zmieniające mniej lub więcej często swych małżonków. Nie są też to kobiety pozbawione serca i ukształcenia. Przeciwnie, życie owych paryskich Fryn przyczynia się nawet do wyrobienia w nich wielu zalet duchowych. Każdy prawie zamożny nieco młodzieniec pozostaje tu w tych związkach między 20 a 30-ym rokiem życia, przynosząc im z sobą młodość, serce jeszcze niezepsute i budzący się umysł. Nic dziwnego też, że w związkach tych, pobłażanych przez opinię, rodziców i znajomych, w związkach, niebojących się światła dziennego i do pewnego stopnia uprawnionych, odbywają się całe dramaty i tragedye życiowe. Około trzydziestego roku życia młody człowiek, który zdołał już wystygnąć, zrywa zwykle wszelkie węzły z tym światem, wyrzuca często na bruk kobietę, z którą przeżył lat kilka, i żeni się na chłodno z panną niewinną i posażną, która zapewnia mu odpowiednie stosunki i stanowisko pieniężne. Z chwilą małżeństwa prawnego żona, trzymana jako panna na uwięzi i w niewiadomości, odzyskuje całą prawie swobodę; mąż często podtrzymuje dalej dawne swe stosunki. Wszystko to nie dzieje się przytem w sposób wyjątkowy, lecz jest regułą powszechną, nieznającą prawie wyjątków. Obyczaje te, różne jeszcze od naszych, trzeba mieć zawsze na względzie, skoro przystępujemy do literatury francuskiej. Postacie takie, jak Sapho, u nas nie istnieją, nie mają warunków do rozwinięcia się. Jeżeli są—to w stanie zarodkowym.

E. P.

MATERYAŁY HISTORYCZNE.

DWA LISTY H. KOŁŁĄTAJA. *a*)

I.

Do księdza Andrzeja Dobrzańskiego.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Oświadczył mi JMPan Podczaszyc łaskawą WPana Dobrodzieja na mnie pamięć, przez co dał mi okazyę do uczynienia niniejszej odezwy i wyrażenia najpowinniejszej wdzięczności tak statecznie łaskawemu na mnie sercu, które wśród zawziętego krakowskiego prześladowania [1]) o mnie nie zapomina.

Tak jest; Kraków wszystko mi odebrał; chwała Bogu, żem nie poddany Siewierski, boby się pewnie i po życie posunąć nie obawiano, a czegoż nie wolno temu biskupowi [2]), którego teologia, zgodna z Jego milionami, potrafi okupić się przed Bogiem *piis legatis*, choć też niesprawiedliwie i dla punktu honoru ogołoci z krwawo zapracowanego chleba tego Xiędza [3]), który na usługi Ojczyzny swój dziedziczny utracił majątek, nie wielki prawda, ale cały, a zatem heroicznie ofiarowany swej Ojczyznie.

Wiadome są WPanu Dobrodziejowi moje kroki a zatem nietajne przyczyny zemsty. Moi bracia mają kłótnie z Sołtykami o fortunę, ja braciom pomagał: *to pierwszy grzech*. Do kapituły wszedłem bez woli biskupa [4]): *to drugi*. Pabianice i Pojałowice [5]): *to trzeci*. Reforma Akademii z zbytnią gorliwością i bez bojaźni na kogośkolwiek czyniona: *to czwarty*. Przeniesienie Siostr Miłosiernych z zamiarem windykowania dwóchkroć sto tysięcy i coś u biskupa [2]) będących: *to piąty*. Nowina, o której najprzód od WPana Dobrodzieja słyszałem, że Xiąże Jegomość Prymas [6]) ma coś sobie z Xięciem biskupem [2]). mnie i moim przypisana wynalazkom: *to szósty*. Na ostatek zapozwanie akademika do sądów komisyi jest *grzech siódmy*. Siedm zatem grzechów tak wielkich ściągnęło na mnie karę, której mię poddał najłaskawszy mój Pasterz [2]), a postępując ze mną po ojcowsku... odebrał mi com posiadał dotąd, uczynił mię nie sposobnym do innych beneficyów, exkomunikował mię i wtrącił na pół roku do seminaryum... Że do tej kary samo tylko wywołanie akademika do sądów komisyi było przyczyną, zapewne WPan Dobrodziej wiesz o tem z Krakowa od swego cnotliwego dzierżawcy, który dawniej jeszcze pisowanych listów do WPana Dobrodzieja nie taił przedemną. Ale o tem proszę, abyś sam tylko wiedział, bo to jest pod exkomuniką krakowską sekret.

Ja w litości JO. Xięcia JegoMci Prymasa [6]) nalazłem ucieczkę i tam z memi dyszę sprawami. Że mię zaś oczerniono przed Xięciem biskupem płockim, jakobym był hardy i nie chciał przeprosić Xięcia biskupa krakowskiego [2]), więc w tych czasach napisałem list błagalny, jaki mi Xiąże Szembek [7]) podyktował, ale i taki list naleziono hardy a zatem nie przyjęto go zupełnie; co może moją sprawę poprawi, bo gdyby był przyjęty, tedybym był zapewne do kanonii nie trafił, dla pokoju Warszawy, której ja wszystko poświęcił, i nie wzdrygałem się poświęcić nawet i tej sprawy. Ale Bóg nie Xięża rządzą światem—tak się stanie, jak on przeznaczył. Ja się nie bardzo turbuję, nie mogę zaś powiedzieć, abym tego z gruntu nie czuł, ale dość, że mi to dotąd zdrowia nie rujnuje, o co mi (naj)więcej chodzi; bo idąc za czuciem mego serca, przyznam się, że zdrowie bardzo kocham, po zdrowiu akademię, jako moje dzieło. Ta cierpi wiele, ale wi(e)m, że moja robota ocaleje i najmniejszej joty z niej nie odmienię.

Moim braciom interesa nie idą źle, ani też mię nie odstępują. A zatem choćbym był bakałarzem u dzieci Pana Jana, będę spokojnym i z głodu nie umrę. Cóż to się rzeczy na świ(e)c(i)e odmienia? A ja młody, a ja w Polszcze; a zatem serca nie tracę. Widzę, że nie wszyscy byli mymi przyjaciołmi, o których sądziłem, widzę, że ci nawet są przyjaciołmi, na których się nie dość znałem; co za pyteczna szkoła! A mnie, jako niemającemu doświadczenia, przez tę szkołę trza było koniecznie przejść, chcąc mieć rozum doświadczeniem wsparty.

Szanowny Przyjacielu! nie racz brać tego za płonną filozofię, mówię to z serca, uniżam się zawsze pod ręką Opatrzności, ale jej stale ufam. Znam dobrze, że masa nieszczęśliwych jest daleko większa od tych, których świat wielbi, ale wi(e)m, że i dla mnie słońce świeci. Doświadczywszy zaś, że mię nieszczęście nie mogło upodlić przedemną samym, widząc, że go (?) wytrzymuję bez sarkania, lepiej teraz szacuję dzieło Joba i wierzę, że cnota nie jest skutkiem dobrego powodzenia, ale osobnym darem Boga. Komu go użycza, ten dozna prawdziwego szczęścia i więcej czyni, jak nadając intratne probostwa albo sadząc w gronie dumnej kapituły. Świadectwo niewinnego sumienia milsze jest nad twardą tyranią i założyłbym się, że są momenta zgryźliwe dla serca tyrańskiego, wtenczas nawet, gdy dokazuje co chce [2]).

Kraków powraca znowu do tego szczęśliwego oglądania wielkości naszego Pasterza [2]). Będzie zapewnie szlitadą na balach po zmrożonej Wiśle bawił zdumiały Kraków. Daj mu Boże zdrowie i upamiętanie, jeżeli taka jest Twoja wola.

Całuję serce przyjacielskie z najpowinniejszym pisząc się uszanowaniem i stałem w każdym losie przywiązaniem.

JMPana Dobrodzieja
najniższym sługą
X. Kołłątaj.

Ten list po przeczytaniu wart spalenia i na taką przeznaczam go karę.

---

a) W autografie biblioteki Ossolińskich Nr. 676, skąd list ten wydajemy, znajduje się wzmianka Kołłątaja: „Do X. Dobrzańskiego, lecz nie posłany.“ Domyślam się, że list ten pisany był do X. Alexandra Dobrzańskiego, późniejszego biskupa leontopolskiego i sufragana sandomierskiego, zmarłego 1831 r.

[1]) Reforma Akademii krakowskiej, zaprowadzona w r. 1780 przez Kołłątaja wywołała oburzenie w sferach konserwatystów. Półtorasta przeszło osób wytoczyło z tej okoliczności swoje mniemane prawa, żądania i skargi. (K. Mecherzyński *O reformie akademii krakowskiej*, Kraków, 1864, str. 26).

[2]) Biskupem krakowskim był Kajetan Sołtyk, na niego to uderza w tym liście Kołłątaj.

[3]) t. j. H. Kołłątaja.

[4]) Kołłątaj był kanonikiem krakowskim.

[5]) Pabianice dziś w gubernii piotrkowskiej, Pojałowice w kieleckiej.

[6]) Prymas książe Michał Poniatowski.

[7]) Biskup płocki Krzysztof Hilary Szembek.

II. (?).

Kraków, 23 kwietnia 1810.

Właśnie na wesołe Alleluja przyniósł mi JP. Kochanowski list JMPana Dobrodzieja. Odezwa jego sprawiła mi rzetelną

pociechę, bo choć pretensye moje bardzo ograniczyłem, nie straciłem jednak przyjemnego uczucia, jakie sprawia pamięć o mnie przyjaciół łaskawych. Żałuję tak smutnej postaci rzeczy naszych, żywe kolory, któremi ją malujesz, przeraziły duszę moją, na nic więcej nieczułą, prócz losu Ojczyzny. Ale cóż ja poradzić mogę? Jeżeli jest jakikolwiek talent i rozsądek, aby radził, trzeba drugiego, aby umiał słuchać i wykonać. Śniadecki [1]) dobrze wiedział i miał racyę, aby mię utwierdził (sic) w przedsięwzięciu niemieszania się do niczego. Czuję moc jego argumentów, nie dla tego, że je oddał w sposób pochlebny dla mnie, lecz że dostrzegł, iż dla najgorliwszego i najprzywiązańszego do swej Ojczyzny człowieka nie masz teraz nic do czynienia. Wszelako moje oddalenie się od rzeczy publicznych nie jest skutkiem ani gnuśnego próżnowania, ani egoizmu, nieczułego na wszystkie wypadki; jest to spokojność, z którą postanowiłem mężnie znosić moje i Ojczyzny nieszczęście.

Po rozstaniu się naszem Biskup krakowski [2]) udał się do mnie, abym mu przygotował prośbę do króla [3]) za interesem duchowieństwa naszego. Napisałem to obszerne pismo [4]) w tym samym duchu jak Postrzeżenia nad konstytucyą Xięstwa Warszawskiego [5]), które w ręce JMPana Dobrodzieja oddałem. Miasto Wieliczka, stawszy się neutralnem, potrzebowało dla siebie ustawy konstytucyjnej, którąby mu nadali dwaj Najjaśniejsi protektorowie. Żądał po mnie tego Xiąże Henryk Lubomirski, abym się projektem zatrudnił; wygotowałem go więc a miasto ma go podać królowi [3]) pod Jego bytność u siebie. Będzie to pewnie Rzeczpospolita Platona, jeżeli się nie znajdzie, któryby tę rzecz poparł. Oprócz tych dwóch wielkich zatrudnień czuwam nad Szkołą Główną Krakowską [6]), która od niejakiego czasu otworzyła także korespondencyę z Ministrem s(praw) w(ewnętrznych) [7]) a teraz z Izbą edukacyjną. Pierwsze początki utrzymują się z godnością; rzeczy idą dość pilnie, lubo w całem zgromadzeniu nie masz więcej przeciwników nad Girtlera [8]), Radwańskiego [9]) i Sekretarza [10]). Projekt oddziału funduszu ze wszystkimi anexami i projekt urządzenia domów już są odesłane Izbie edukacyjnej; projekt kandydatów do stanu nauczycielskiego już przeszedł przez Radę Szkoły Głównej, będzie odesłany przyszłą pocztą. Trzy projekta względem urządzenia seminaryum chirurgów, względem seminaryum duchowego i względem generalnego planu edukacyi w całym kraju są jeszcze w robocie, bo były powierzone ludziom mniej gorliwym. Mnie zobligowano, ażebym ułożył ustawy dla Instytutu. Pan Bandtkie [11]) już jest w korespondencyi ze Szkołą Główną i przyjął ofiarowane mu miejsce; jest to akwizycya, którą się będzie cieszyć Kraków na końcu miesiąca czerwca. Z Habitem ugadzano się o gabinet i o jego bibliotekę, ale ani minister, ani Izba edukacyjna jeszcze nie odpowiedziała na przełożenia w tej mierze zaniesione. Mimo najlepsze chęci sama organizacya Rządu bardzo wiele opóźniać musi, daj Boże, aby przynajmniej nie psuła.

Widzisz przeto JMPan Dobrodziej, że mimo wyrzeczenia się mego wszelkich publicznych interesów, stolik mój nie próżnuje; ktokolwiek się do niego zbliży, nie zawiedzie się na mojej gotowości służenia rzeczy publicznej: lecz za stolik ani na krok na żadną nie ruszę się stronę. Jest to przedsięwzięcie, którego sobie dotrzymam a nawet nie spodziewam się być w niebezpieczeństwie tentacyi.

Króla [3]) nam tu obiecują na 7 maja. Ma on zabawić trzy dni, rachując w to bytność w Wieliczce. A zatem choć mam przygotowaną moją prośbę, trudno, abym się z nią docisnął. Krótkość czasu, natłok ciekawych i interesowanych sprawiłby, że gdybym się chciał w ten tłok wmięszać, mógłbym być podeptany. Ale co smutniejsza, że nawet w Warszawie król zbyt krótko ma zabawić; a zatem jego teraźniejsza bytność będzie fenomenem niezrozumianym. Zdaje się, iż samo tylko Puławy są przedmiotem podróży; są nawet, którym się zdaje, że tam mają nastąpić jakieś układy i reformy. Ja o moim interesie najmniej dobrze sobie wróżę, dopełniam tylko powinność, o którą moje sumienie na mnie woła. Jeżeli będzie rzeczą podobną, szukać pragnę poznania się z pułkownikiem Paszkowskim [12]) i dalej; ale cóż można będzie zrobić w tej nagłości, zwłaszcza przy takiem zdrowiu, jak jest moje.

Ucieszyła mię wiadomość, że JMPan Dobrodziej masz być tu prefektem. Radzę z serca ten urząd przyjąć. Jeżeli nie można wszystkiego dobrego zrobić, przynajmniej wiele złego można oddalić, a samo oddalenie się z centrum nieładu jest bardzo dobrą rzeczą w czasie teraźniejszym. To pewna, że płyniemy wśród ciemności i burzy po nieznajomym morzu, nic jeszcze teraz pod rachunek rozsądku podciągnąć nie można, losy nas wiodą do nieznajomej nikomu mety... [13]). *H. Kołłątaj.*

H. B.

[1]) Jan Śniadecki wówczas profesor Akademii krakowskiej.

[2]) Jędrzej Gawroński, biskup krakowski.

[3]) Fryderyk August, król saski, Wielki Książe Warszawski (1807—1815).

[4]) Pismo to wyszło z druku dopiero 1840 w Poznaniu p. t. „Pamiętnik o stanie duchowieństwa katolickiego polskiego i innych wyznań,“ wydał z rękopismu J. K. Żupański, str. 43 w 8-ce. Jest to ostra krytyka ówczesnego duchowieństwa.

[5]) Tytuł tego dzieła Kołłątaja brzmi: „Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem Warszawskiem.“ Nil desperandum! Lipsk (właściwie Warszawa u W. Dąbrowskiego 1808 str. 222. Toż Lipsk 1810 str. 148 i 110.

[6]) W 1810 r. ułożył też Kołłątaj „Projekt urządzenia Akademii krakowskiej i szkół wszystkich w ks. Warszawskiem“ napisany z polecenia Naj. króla Imci Saskiego, danego mu w r. 1810 podczas bytności tego monarchy w Krakowie a u tronu jego w Dreznie t. r. w październiku przez autora złożony (Ign. Badeni o Kołłątaju w Rocznikach Towarzystwa naukowego. Kraków 1819 IV 185).

[7]) Jan Łuszczewski minister spraw wewnętrznych.

[8]) Sebastyan Girtler, profesor Akademii krakowskiej.

[9]) Feliks Radwański, profesor matematyki w tejże Akademii.

[10]) Józef Januszewicz, albo Julian Czermiński, sekretarze szkoły głównej koronnej.

[11]) Jerzy Samuel Bandtkie, profesor bibliografii i bibliotekarz akademii krakowskiej.

[12]) Franciszek Paszkowski, znany generał wojsk polskich.

[13]) List ten bez tytułu i zakończenia znajduje się między autografami biblioteki Ossolińskich pod l. 2455, gdzie jest także brulion listu Kołłątaja z 29 października 1809 r. donoszącego tu o swej pracy oddanej Towarzystwu przyjaciół nauk Warsz. (Por. Jana Śniadeckiego „Żywot literacki H. Kołłątaja“ w *Pismach rozmaitych* 1814 I 108 i n.)

Z POWODU JUBILEUSZU
LUDJEWITA GAJA.

Chorwaci, zamieszkujący dziś Chorwacyę, Dalmacyę i Sławonię oraz dawne Pogranicze wojskowe, od wieków oswojeni z uspołecznieniem zachodniem, wyprzedzają dziś szybkimi kroki wszystkich słowian południowych na drodze postępu. Wśród tego ludu urodził się mąż, który widząc rozproszone siły literackie serbów, chorwatów, słoweńców i bułgarów, postanowił je zjednoczyć we spólnem ognisku oświaty narodowej. Był tym śmiałym człowiekiem Ludjewit Gaj, urodzony w czasie, kiedy Napoleon I z Karyntyi, Krainy, Istryi, Gorycyi i Tryestu utworzył tak zwaną Ilirye. Podczas swojego pobytu w gimnazyum w Warasdynie, opisał Gaj Krapinę w Chorwacyi, tj. miejscowość, w której ujrzał światło dzienne. Książeczka ta p. t. *Brevis descriptio Krapinae*, wyszła dopiero r. 1826 w dwóch językach: łacińskim i niemieckim; gdyż cenzor, mając na uwadze lata młodociane gimnazyasty, pozwolenia swojego na wydrukowanie nie udzielił. Filozofię Gaj studyował na uniwersytecie w Wiedniu i Gradcu styryjskim, a prawo w Peszcie, gdzie poznał sławnego poetę czesko-słowackiego Kollara, któremu właśnie początek działalności swojej na polu publicystyki zawdzięcza.

Wobec różnolitej dyalektologii południowo-słowiańskiej tudzież 22 przepisów ortograficznych, panujących w piśmiennictwie, nie było to łatwem jednem narzeczem i pisownią objąć ruch umysłowy na południu. Utworzone niegdyś przez Napoleona królestwo Iliryi, zrodziło w Gaju myśl wytworzenia literatury iliryjskiej. W tym celu, wybrawszy narzecze okolic swoich, ustanowił nową, na wzór czeskiej pisownię, którą wyłożył w książeczce p. t. *Kratka osnowa hrwatsko-slowenskoga prawopisanja.* Już w r. 1835, uzyskawszy pozwolenie od rządu, zaczął wydawać w Zagrzebiu czasopismo p. t. *Nowine hrwatsko-slowensko-dalmatinske*, które wkrótce zamienił na dwutygodnik p. t. *Ilirske narodne nowine*, wraz z dodatkiem literackim *Danica illirska.* Niedawno właśnie święcono w Zagrzebiu pięćdziesięcioletni jubileusz od chwili wyjścia pomienionego czasopisma. Wypadki polityczne w dobie spółczesnej były poniekąd przyczyną, iż tak ważna dla chorwatów uroczystość, przeminęła cicho, niezwróciwszy uwagi świata słowiańskiego.

Nietylko madyarowie, lecz i szlachta chorwacka, upatrując w „iliryzmie“ dążności demokratyczne, okrzyknęła Gaja demagogiem i panslawistą, lubo dążnością wytrwałego z wielu względów narodowca było tylko zespolenie życia umysłowego serbów, bułgarów, chorwatów i słoweńców. Chociaż pieśnią swoją, zaczynającą się od słów: „Josz Hrwatska nije propala (Jeszcze Chorwacya nie zginęła)“ obudził ducha chwilowo uśpionego w rodakach, jednak w pobratymczych serbach wywołał jeno podejrzenia, jakoby za pomocą iliryzmu godził na samodzielność narodową wszystkich plemion południowych, u których nowa pisownia niezbyt pomyślnem cieszyła się powodzeniem. Niezrażony przeciwnościami redaktor *Nowin* postanowił przychylne madziarom wyższe klasy duchowieństwa dla sprawy swojej pozyskać, aby tem skuteczniejszą rozwinąć działalność.

To też biskup zagrzebski Alegowić księżom w dyecezyi *Nowine* czytać zalecił. Wnet też wpływ "iliryzmu" zaczął coraz widoczniejsze czynić postępy w sąsiedniej Bosni i Hercegowinie. Chociaż nieprzyjazny Gajowi wikaryusz Barasić oskarżył go w Rzymie o szkodliwe dla kuryi rzymskiej dążności, w niczem atoli wytrwałemu narodowcowi nie zaszkodził. Wtedy to madziarowie widząc, iż rząd przychylnem na rozwój tego prądu patrzy okiem, nie szczędzili środków, używając nawet pieniędzy, aby Gaja z widowni publicystycznej usunąć, a gdy ich rachuby zawiodły, okrzyczeli go płatnym panslawistą.

Dla łacniejszego rozkrzewiania „iliryzmu,“ głosił, jakoby dawni niepewnego rodu ilirowie byli słowianami, i w tym celu napisał dzieje *wielkiej Iliryi*, które oprócz wyjątków zamieszczanych w *Dani-*

-cy nie doczekały się druku. Pamiętny w losach Austryi rok 1848 okazał, iż żywione przez madziarów obawy co do „iliryzmu“ nie były próżnemi. Wezwany przez rząd do zwołania sejmu krajowego w Zagrzebiu, Gaj wpływami swoimi sprawił, iż pułkownik Józef Jelaczyc obrany został większością głosów banem Chorwacyi. Jego też wnioskowi zawdzięcza początek deputacya 400 posłów, wysłana do Wiednia, która, doznawszy przychylnego nader przyjęcia, wyraziła wierność ludu chorwackiego dla sprawy austryackiej. Ciągle wszakże doznawał Gaj stałego i systematycznego prześladowania ze strony madziarów i włochów, czem zniechęcony, nie przyjął w r. 1849 mandatu na sejm, zaniechawszy już odtąd pracy na polu społecznem. Ale chociaż usunął się od zgiełku światowego, gorąco jednak do ojczyzny swej przywiązany, postanowił w zaciszu pracować dla oświaty ludu chorwackiego. W r. też 1853 zakłada w Zagrzebiu księgarnię pod nazwą: „Narodna knigarnica.“ Chociaż go, jako rzymskiego Cyncynata, od pługa powoływano na sejm, on jednak oręż publicystyczny na lemiesz człowieka prywatnego zamieniwszy, ostatecznie zaproszeniu temu odmówił.

Naród chorwacki, pomny tylu zasług położonych dla Słowiańszczyzny południowej, resztki sędziwego życia nalezną czcią otoczył. Śmierć Gaja (r. 1872 w Zagrzebiu), wzbudziła szczery żal, który zwykle po stracie pożytecznych pracowników odczuwamy.

Justyn Feliks Gajsler.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Reforma judaizmu. — Trzeci Zakon. — Luter niemiecki i żydowski. — Łatanie starzyzny. — Wilkołaki reakcyjne. — Chmielowski *militans*. — Króciutka historya jednego wilkołaka. — Dwa sprostowania. — Niezmniejszone czytelnictwo i wartość pewnych „cyfr.“ Ilość wygnańców. — Mała pociecha — Prawnie i po chrześcijańsku. — *All right.*

Skończył się... i bodajby ten przez wszystkich przeklęty rok nigdy w życiu naszem nie zmartwychwstał. Niestety plagi jego były płodne, a czas nie określa zwrotów rozwoju według kalendarza. Możemy przeto być pewni, że od dziś za 12 miesięcy znowu będziemy mieli co do—przeklęcia.

A jednakże ów straszny rok omal nie ozdobił się bardzo ważnym wypadkiem — reformą polskiego Izraela. Żydzi oddawna czują pociąg do mesyanizmu, a chociaż pora obecna takim przedsięwzięciom nie sprzyja, znalazł się w Warszawie mąż, który, niezadowolony z obu Zakonów, zamierzył między Starym a Nowym postawić trzeci — pośredni, taki, w którym by kolejno jedna kartka należała do Mojżesza a druga do Chrystusa. Chciał on np. usunąć obrzezanie, przenieść święto z soboty na niedzielę itp. Mieszaną tę naukę spisał autor w osobnej książce, którą zaufanej rzeszy, a, jak mniemał, przyszłym swoim uczniom i apostołom odczytał. Ci wszakże nie podzielili natchnień mistrza i poradzili mu, ażeby swoją ewangelię schował głęboko. Zachowawcy bowiem dowodzili, że przez przyjęcie takiej reformy straciliby wpływ na masy żydowskie, który zachować pragną; postępowcy zaś — że, rozwiodłszy się z dawną wiarą, nowej poślubiać nie myślą. Oba te argumenty są dosyć mocne do uduszenia rodzącej się sekty, ale ja bym je wzmocnił jeszcze małą uwagą. Wszyscy reformatorowie religijni drobnego kroju sądzą, że zatkanie w ruderze kilku dziur i oderwanie z jej ścian kilku kęp mchu z gruntu ją odnowi. Bynajmniej. Judaizm niedzielny byłby prawie tyle samo wart, co i sobotni. Nie przeczę, że operacya, dokonywana na niemowlętach żydowskich, jest barbarzyństwem, a szabas w połączeniu z niedzielą za dużo czasu wyrywają pracy, ale wszystko to jeszcze nie stanowi podwaliny Starego Zakonu, który albo niech stoi, jakim jest, albo niech się całkiem z innymi przewali. Restauracya go nie udoskonali. Ażeby zaś mesyasz warszawski nie posądzał mnie o wyłączne lekceważenie jego posłannictwa, wyznam mu szczerze, że nawet dla znacznie większych od niego nie zdołałem dotąd odczuć wdzięczności. Słyszałem np. z katedr uniwersyteckich i czytałem o cudownym wpływie Lutra na postęp ludzkości, ale nigdy nie umiałem tego zrozumieć: jakim sposobem dość ograniczony i zabobonny jegomość mógłby wywołać olbrzymi przewrót umysłowy obaleniem kilku podrzędnych dogmatów i wypowiedzeniem posłuszeństwa papieżowi, gdyby mu inne, liczne i daleko potężniejsze czynniki wody na młyn nie spuściły. Kto rzuca iskrę w proch i wysadza budynek, nazywa się sprawcą wybuchu, chociaż właściwym sprawcą był tu proch. Bez filozofii, bez sztuki, bez nagromadzonych w ludzkości materyałów palnych, o dwa wieki np. wcześniej, Luter daremnie by krzesał swoje iskierki. A co religia zyskała na jego reformie? Protestantyzm pozbył się wielu skamieniałości katolicyzmu, ale posiada swoje własne i wcale dziś nie jest prądem świeżym, który porywał ludy. Tak się przedstawia dzieło Lutra, a cóż dopiero mówić o pokuszeniu maluchnego reformatora żydów polskich!

Nie stworzy on więc wilkołaków religijnych, za co niech go błogosławi Bóg wszystkich zakonów, bo tego paskudnego gatunku mamy w różnych dziedzinach życia za nadto. Ulubionem ich koczowiskiem jest literatura, a raczej prasa. „Liche subiekty“—jak ich zwał Heine—wiedzą dobrze, że zawsze doskonałym interesem było „nawrócenie.“ Najzwyklejszy Srul z Nalewek potrzebuje tylko zmienić religię, ażeby natychmiast stał się sławnym, uczczonym w *Kuryerach* i trzymanym do chrztu przez osoby z „towarzystwa.“ Toż samo dzieje się i w piśmiennictwie. Kto słyszał o istnieniu niejakiego p. L. Masłowskiego, zanim ten świeży bohater ogłosił, że przechodzi na wiarę stańczykowską i wyrzeka się Darwina? Jeszcze przed trzema laty nikt nie byłby ciekaw, co on tam baje w *Listach do przyjaciela*—a dziś to jeden z „naszych znanych i zasłużonych.“ Przykład jest zaraźliwy, zwłaszcza, gdy go wieńczy pożądany skutek. Za śladem p. Masłowskiego rzuciła się gromada „liberałów,“ zdobywających „nawróceniem“ rozgłos i pieczeń. Nadyma się to, wrzeszczy, łaje i—zwyczajem wszystkich neofitów namiętnie opluwa poprzednie wyznanie. Jak szybko to stadko się mnoży i jak zanieczyszcza swą jadowitą bezceelnością literaturę, dowodem wystąpienie P. Chmielowskiego w *Kuryerze codziennym* przeciwko „wilkołakom reakcyjnym.“ Musi być źle, skoro zimna krew tego pisarza zakipiała mu w żyłach. Przytoczywszy podobne objawy z przeszłości, powiada on: „I dzisiaj wilkołaki, przedzierzgnione z postępowców w zachowawców reakcyjnych, zaczynają się coraz bardziej panoszyć wśród naszego czasopiśmiennictwa, wyszczerzając zęby na to wszystko, co niedawno czciły. I dzisiaj nieuctwo, epikurejskie skłonności, pyszałkowstwo i sobkostwo przywdziewają obłudną maskę strażników religii, tradycyi, dobra społecznego, by pod nią tem swobodniej napadać na wyznawców przekonań niezależnych—a co dla nich ważniejsza—tuczyć się na chwałę kościoła i *cidevant* uprzywilejowanych stanów.

Z uznaniem mówiąc o zachowawcach, szczerze i bezinteresownie broniących swego sztandaru, z uszanowaniem skłaniając głowę przed ich czynami, które istotne dobro kraju mają na celu; tem bezwzględniej powinniśmy występować przeciwko prawdziwej zarazie moralnej, jaką wśród społeczeństwa naszego roznoszą zmiennicy obłudni. Na nich potrzebna byłaby chłosta Naruszewiczowskiej satyry, którą obłożył ich duchowych poprzedników w „Redutach...“ *Kuryer codzienny* ogląda się nawet i chce niewskazanych naznaczyć... śliną.

Chmielowski należy do ludzi wytrawnych, spokojnych unikających polemiki aż nad potrzebę; jeżeli więc bierze do ręki rózgę polemiczną (bo nie szpadę), widać, że „wilkołaki reakcyjne“ zbyt zuchwale grasują w naszej literaturze.

Jednego z nich dłuższy czas obserwowałem. Z początku cisnął się wszystkiemi szczelinami do pism postępowych, niezrażony częstą odmową. Nadsyłał z zagranicy korespondencye, sprawozdania literackie, powieści. Przebierano ten towar, częściowo go zużytkowywano, ale jego fabrykant, mimo że rozszerzył swoje nazwisko, pozostawał ciągle niedostrzegalnym dla ogółu. Tak zaś łaskawie obdarzał mnie nadewszystko swoimi względami, że raz w liście, który zachowałem, złożył mi następującą, niewymaganą przysięgę: raczej sobie palec odgryzę, niż przeciwko panu słowo napiszę. I cóż powiecie? Nieuznany klejnot liberalizmu przybrał wkrótce barwę mocno konserwatywną, zaczął mnie, jak skunks, obryzgiwać (jest to pierwszy stopień święcenia w kapłaństwie prawomyślności) i prawdopodobnie palca sobie nie odgryzł. Nie myślę egzekwować tego dobrowolnego zobowiązania i chętnie wymienię je na nowe, mianowicie że szanowny „wilkołak“ nie przedzierzgnie się po raz drugi w postać liberała. Już jeżeli ma hulać po prasie warszawskiej, niechże pląsa wyłącznie po zachowawczej, a pozostać w niej winien tem bardziej, że postępowa nie oceniwszy jego „talentu“ i „wiedzy,“ nie oceniłaby również „nawrócenia.“...

Ktoś, według *Kuryera codziennego*, udowodnił „faktami,“ że „cały alarm był przedwczesny.“ Owe „fakty“ wyraziły się w cyfrach ogólnej prenumeraty z roku 1884 i 5, zapisanych w wykazach pocztowych. Jeśli zważymy, że wszystkie tygodniki, dwutygodniki i miesięczniki zaledwie w części swych nakładów rozchodzą się na prowincyę pocztą, to odrazu pojmiemy, co warte są owe „cyfry“ i „fakty,“ zwłaszcza że i one przyznają dla „pism poważnych“ około 16% ubytku. Zresztą zapytać należy: skąd by powstał taki chór skarg, gdyby wydawcy w swych książkach administracyjnych nie dostrzegli zniżki? Dotąd słyszeliśmy tylko o kłamstwach na korzyść wzrostu prenumeraty, żeby jednak ktoś upatrzył interes w popisywaniu się zmyślonym jej spadkiem—tego nawet nie przypuszczaliśmy.

Dziennik warszawski donosi na podstawie wiarogodnych danych, że „do 15 listopada“ ogółem wypędzono z Prus do Królestwa polskiego 2,466 osób. Ponieważ w pismach naszych i zagranicznych powtarzała się ciągle poważna liczba 35.000 skazanych na wygnanie, a nawet minister Puttkamer podał przybliżoną, mieliby-śmy przeto powód do radości i wiary w nagłą zmianę polityki pruskiej. Niestety, oziębia nam te uczucia data: 15 listopada. Do tego dnia mogło wyjść tylko 2,466 osób, ale ile wymieciono dotąd, zwłaszcza że znacznej części przedłużono termin do stycznia? Poczekajmy więc jeszcze trochę na rachunek ostateczny, zanim krzykniemy: niech żyje Bismark!

Natomiast już dziś wołam: niech żyje jeden z bogatszych naszych rejentów, który swemu wiernemu pracownikowi wytrącił miesięczną pensyę za czas choroby i—śmierci. Postąpił bowiem: a) prawnie i b) po chrześciańsku, gdyż swoją dostojną osobą zaszczycił pogrzeb biedaka. Takich

obywateli szanuję, bo oni uczą nas lekkomyślnych sposobu robienia majątku. Sposób to prosty: jedną ręką bierze się co swoje, a drugą zamyka się usta miłosierdziu (niegłoszonemu w pismach) i — *all right*—jak lubił mawiać p. T. Cz., który mi gdzieś przepadł w drodze z *Kuryera warsz.* przez *Gazetę polską* do *Tygodnika ilustrowanego*. Obym go jeszcze ujrzał!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wpływ „gwiazdki." — Dwa waryanty jednej bajki. — Szczere głosy. — Podarek dla ludu. — Niespodzianka dla rolników. — Iskry, które gasną lub niecą pożary.

Bodaj to „gwiazdka!" Skoro tylko cudowne jej światło błyśnie na widnokręgu, mrok ucieka, ogień krzepnie, blask ciemnieje, przesilenie rolnicze ustaje, przemysł ożywia się—słowem dzieją się rzeczy, o których ani przyrodnicy, ani ekonomiści nigdy nie śnili. Posępnie nastrojona, stękająca prasa zaledwie zapaliła świąteczną choinkę, zadźwięczała na różne tony: będzie lepiej, będzie lepiej. Nawet sędziwa *Gazeta warszawska* przekręciła czepiec na bakier i wziąwszy się pod boki, zuchowato woła: „więcej otuchy," nie lękajmy się współzawodnictwa, bo nie taki dyabeł straszny, jak go malują.

Lubię ten dzielny optymizm, który każe się „spodziewać, wbrew nadziei" i na przekór okolicznościom woła: nie zginiemy! Dla czego jednak zjawia się on tylko raz do roku, koniecznie 24 grudnia? Widocznie wierzymy jeszcze w cudowny wpływ różnych gwiazd i gwiazdek więcej, niż we własną pracę i własne siły. Rok cały kwękamy, skarżymy się, tracimy nadzieję aż do niedołęstwa, aż do poniżenia, ale niech tylko ukaże się gwiazdka, cały chór Jeremiaszów przemienia się w wesołych kolędników i

> Dobywa wdzięcznego
> Głosu baraniego

zapewne z tej racyi że:

> Gdy nie miał Panu co dać
> Kazali głupiemu śpiewać.

Nie bez ironii zapowiada w świątecznym numerze *Gazeta lubelska* dobrodziejstwa, jakie „gwiazdka migająca nad stajenką przyniesie." Żywa wiara do serc powróci, konkurencya amerykańska pójdzie na cztery wiatry, nawet panny bezposażne powychodzą za mąż. Przepowiednia ta wyjaśnia nam także ubocznie przyczynę dorocznych napadów optymizmu, bo „jak się to stanie, dowie się każdy, kto zaprenumeruje *Gazetę* na rok 1886 czy to rocznie, czy kwartalnie." Przynajmniej—szczerze.

Inne bardziej zamożne pisma odrazu podają już radę na wszelkie dolegliwości. *Wiek* np. zaleca jako środek wypróbowany opowiadanie bajek o zaklętej królowej. Autor tej recepty przypomina sobie, że w dzieciństwie, kiedy po obfitej kolacyi wigilijnej zabolał go brzuszek, niańka opowiadaniem bajek łagodziła jego cierpienia, odwracała bowiem uwagę chorego od żołądka—do przeszłości. Podaje on wzór takiej powieści o królowej i królewiętach, które z początku sprawowały się grzecznie, ale później z namowy złych ludzi rozpuściły się i strwoniwszy ojcowiznę, własną matkę sprzedały w niewolę. Niema baśni bez cudu, więc i tu znalazł się on na końcu: niewiasta w szacie niewolniczej ukazała się złym dzieciom, które nagle „poczuły własne winy i poniżenie, wyrzekłszy się dawnych wad i zdrożności i jęły się szczerze pracy najprzód nad własną poprawą, a potem starsi zaczęli nauczać młodszych" itd.

Znam ja odmienny zgoła waryant tej baśni. Królowa oprócz starszych pieszczochów miała inne jeszcze dzieci, żeby jednak nie przeszkadzały one królewiętom, oddała jednego na naukę rzemiosła do miasta a najmłodszego „głupiego" Janka przeznaczyła do usług starszym paniczom. Kopciuszek ten pomimo plag i poniżania wyrósł krzepko i zdrowo, i kiedy pieszczeni bracia sprzedawali po pijanemu matkę, ani on, ani drugi wydziedziczony syn, jakkolwiek sponiewierany w służbie żydowskiej i niemieckiej, nie wzięli udziału w tym frymarku. Owszem, dali nawet przytułek starej grzesznicy i bronią resztek jej mienia, bo chociaż starsi panicze czują nieraz wyrzuty sumienia, biją się w piersi i przepraszają matkę, nie mają dosyć mocy charakteru, ażeby powstrzymać podszepty dawnych nałogów i nieraz gotowi są strwonić lub przehandlować ostatnią spuściznę. Spuścizny tej—ziemi trzyma się wytrwale głupi Janek, który zresztą zawsze mądrzejszym był od braci i nie da jej wyłudzić za liczmany bratniej opieki lub rodzinnej zgody.

W numerze gwiazdkowym *Gazety lubelskiej* znajdujemy szczere wyznanie jednego ze starszych braci, któremu łzy obmyły zasklepione oczy, który odkupił winy swoje w bólach samopoznania i skruchy. Oto co opowiada p. Witold Tarcza o nauczaniu młodszych przez starszych:

„Oj ta nasza inteligencya, krzycząca z góry na pozytywizm i materyalizm, wyklinająca, gdzie się tylko zdarzy, realistyczny zwrot powieściopisarstwa i zapatrywania postępowej prasy, gdy sama w najohydniejszy sposób zmateryalizowana jest dzisiaj.

„Żadne bowiem serdeczne ciepło nie wychodzi od nas a tem samem niestety, nie zaszczepia się (?) w młodszych braciach.

Żadna wyższa idea nie krzewi się w około nas, bo byt powszedni i żądza zysku zabija w nas wszystkie instynkty szlachetne a bezinteresowne."

„Czem są w porównaniu do inteligencyi te mrówki i robaczki kilkunasto-morgowe, uprawiające ziemię. Bydlęta, powie niejeden, a czy ty wiesz, bracie kochany, że gdyby nie te bydlęta możebyśmy dziś i tego skrawka ziemi nie mieli."

Zaznaczamy ten głos obywatela ziemskiego, głos śmiały i uczciwy, wypowiadający otwarcie prawdę. Posłuchajmy go jeszcze a powie nam, w jaki sposób odbywa się nauka zgody bratniej.

Wiadomo, że probierzem wzajemnej miłości chaty i dworu są służebności. Otóż p. Witold Tarcza donosi, że włościanie w ordynacyi zamojskiej skazani zostali przez różne sądy za „nadużycia serwitutowe" na 15,000 rs. kary. Za ordynacyą idą w ślad i prywatne majątki „skargi, zjazdy, sądy, wyroki, kłótnie i niepokoje" charakteryzują istniejące stosunki.

P. Tarcza twierdzi, że do zgody przyjść można i należy „bodaj nawet oddając kapotę a zostając przy koszuli." My sądzimy, że nawet nie trzeba oddawać kapoty, dosyć będzie skrócić ją nieco, że w takim lżejszym ubiorze nawet właścicielowi jego zręczniej będzie, ale cóż, kiedy tradycya obowiązków obywatelskich nakazuje cześć dla szat długich.

Inny korespondent p. Rola wyjaśnia przyczyny upadku cen ziemi. W ostatnich latach kupczono ziemią na spekulacyę, ceny wzrastały i normowały się stosownie do przewidywań nabywcy, nie zaś do wartości gruntu. Chłopi, dopóki mieli zapas gotówki, kupowali chętnie i płacili dobrze, spekulant nie dbał czy wyłożony kapitał da mu odpowiedni dochód, ale spodziewał się zarobić przy odprzedaży majątku. Dziś, kiedy oszczędności chłopskie wyczerpały się a spekulacya osłabła, ceny ziemi wracają do właściwego poziomu. W ciągu lat 10—wiele bardzo majątków zmieniło właścicieli, nowo-nabywcy przy dzisiejszem obniżeniu cen ziemi bankrutują, ale straty ich, jakkolwiek znaczne, nie są jeszcze bankructwem rolnictwa lub własności ziemskiej. Spodziewać się zresztą należy, że ów Proteusz zabiegliwości—chłop polski uciuła trochę grosza i nanowo zacznie skupować „paski" i „klinki" potrzebnej mu ziemi.

Kiedy starsi bracia uczą młodszego za pomocą kar sądowych poszanowania własności i tym sposobem szerzą wśród ludu zdrowe pojęcia, znaleźli się inni, dalsi krewniacy, którzy przygotowali mu podarek na gwiazdkę. Niespodziankę tę ogłasza *Dniewnik warszawskij*: będzie nią pismo dla włościan wydawane w języku rosyjskim p. t. *Biesiada*. Dotychczas, według zdania *Dniewnika*, chłop polski nie miał żadnego pisma z wyjątkiem *Przeglądu katolickiego* (?). *Przegląd katolicki* jest pismem przeznaczonem dla duchowieństwa. Dla ludu zaś istnieją wydawnictwa w języku polskim: *Gazeta świąteczna* i *Zorza* z *Poradnikiem gospodarskim*. O tem wypadało wiedzieć.

Wszyscy rolnicy dostaną inny jeszcze podarek na gwiazdkę: projekt nowego podwyższenia cła od machin rolniczych. Uchwała tego rodzaju zapadła na zjeździe przedstawicieli przemysłu żelaznego—w Petersburgu i prawdopodobnie nie będzie długo wyczekiwać na zatwierdzenie. Cło od niektórych maszyn stanowić ma 75% ich wartości, przeciętnie zaś 43,6%, to znaczy, że komplet narzędzi gospodarczych niezbędnych w średnim majątku kosztować będzie nie 2,000, ale 2872 ruble. Przewyżka ta, chociażby rozłożona na lat kilka, wyniesie ładną sumkę, którą rolnictwo poświęcić powinno dla poparcia przemysłu. W ten sposób ułatwia się u nas przejście do gospodarstwa intensywnego i osłabia wpływ konkurencyi innych krajów.

Nie należy jednak tracić otuchy, radzi *Wiek*, którego nie przestrasza nawet ten fakt, że mnoży się u nas zastęp takich, „którym pozostaje tylko trzech wiernych przyjaciół: nóż, powróz i woda." Wiadomo powszechnie, że nadzieja jest matką... współpracowników pism zachowawczych, ale takiej pociechy, jaką znajduje kronikarz *Wieku*, nawet oni chyba dzielić nie mogą. Bo owi czciciele nowej trójcy: noża, powroza i wody to tylko „iskry, które porwane wiatrem gasną lub rozniecają pożary." Nie ma co, ładna pociecha, która pożar uważa za drobnostkę. Nie zaszkodziłoby także pamiętać, że rozpacz nie pozostaje wiecznie w stanie biernym.

Dziennik łódzki, który niedawno występował gorąco w obronie fabrykantów miejscowych i stawił ich za przykład, jak należy postępować z robotnikami, dziś, chociaż to dopiero Boże narodzenie, nie Wielkanoc, spowiada się publicznie i bije w piersi, wołając: moja wina. Okazuje się, że w wielu fabrykach łódzkich pracownicy obciążeni są karami, nakładanemi samowolnie przez pracodawców. Jeden z panów fabrykantów dochodem z kar pokrywa połowę wydatków na utrzymanie domu, inny opłaca z nich koszta administracyi itd. Wiemy szczegóły o pewnej fabryce w Łodzi, której właściciel, znany milioner nie urządził oddzielnych pomieszczeń dla mężczyzn i kobiet, ale ściąga po rublu kary od schwytanych na gorącym uczynku... jakby to powiedzieć? rozmowy miłosnej i dochód ten chowa do kieszeni. Gdyby chociaż kary owe ściągane bezprawnie szły na rzecz kas robotniczych lub na zaprowadzenie w fabryce urządzeń, ochraniających życie, zdrowie lub moralność pracowników. Gdzie tam! Niedawno w pewnej fabryce poniósł śmierć robotnik, który zanadto zbliżył się do koła maszyny. Wprawdzie wchodzenie do tego miejsca było zabronionem i przekraczających zakaz wydalano nawet z fabryki, ale czyż nie

łatwiej było ogrodzić po prostu miejsce niebezpieczne, zwłaszcza że na wydatek taki dochód z kar wystarcza.

J. Nieborski.

Z Łodzi odbieramy protest Zarządu gminy starozakonnych przeciwko wzmiankom w n-rze 52 *Prawdy*, jakoby oszukano tegorocznych rekrutów i niewypłacono im umówionego wynagrodzenia, jakoby wspierano rabinów z nad Sprei, nie ogrodzono cmentarza itd. Nie mieliśmy chyba żadnego powodu obarczać Zarządu gminy zmyślonemi winami; *Prawda* odbiła tylko echo głosów innych pism a przedewszystkiem tego, który stoi najbliżej rzeczy—*Dziennika łódzkiego*. O żadnej więc złej woli i „obeldze" nie może tu być mowy, ale co najwyżej o błędzie bezwiednym—gdyby nawet to wszystko odnosiło się do Zarządu gminy, o którym wcale w naszym artykule nie wspominano. Skąd więc protest?

Opoczno. Na jarmarkach w małych miasteczkach zjawiają się żydzi z ruletą i ogrywają chłopów. W Gielniowie wójt gminy chciał aresztować spekulantów, ale w obronie ich wystąpiła straż ziemska, twierdząc, że przy 10 groszowej stawce gra nie jest hazardowną.

Łódź. W teatrze *Thalia* urządzono uroczystość rozdawania podarków gwiazdkowych biednym dzieciom. Śpiewy i mowy brzmiały w języku niemieckim, chociaż większość dzieci nie rozumiała go wcale.

Lublin. Towarzystwo kredytowe miejskie wypuszcza pierwszą seryę listów zastawnych na 1,800,000 rs.

Radom. Właściciele domów starają się o założenie Towarzystwa kredytowego miejskiego na wzór Lublina i Kalisza.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Dniewnik Warszawskij tak zapowiada mające wkrótce wychodzić w Warszawie pismo rosyjskie dla ludu:

„Pożytek takiego pisma dawno już był uznany; dziesięć lat temu byłemu kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego złożony został projekt wydawania taniej gazety rosyjskiej głównie dla szkół elementarnych, lecz która mogłaby, w miarę rozszerzania się nauki czytania w rosyjskim Zabużu, dostarczać wiadomości i tamtejszym włościanom. Punkt wyjścia projektujących wydawnictwo *Biesiady* cokolwiek jest inny; ma ona na widoku inne koło czytelników, a skutkiem tego i inne na niej ciążą zadania. Życzymy jej powodzenia, a pod pewnym względem na powodzenie to rachujemy, bo wiemy, że do współpracownictwa powołano nie tuzinkowe siły.

„Dobrze ułożona książka lub dobrze redagowana gazeta, przeznaczone dla ludu wiejskiego, czytającego mało, a skutkiem tego wrażliwego niesłychanie na słowo drukowane, stanowią wielką siłę, i przyznać musimy z goryczą, że my siłą tą w tutejszym kraju posługiwaliśmy się nadzwyczaj mało. W sferze inteligentnej jadowite potwarze zagranicznych polskich gazet i obłudne milczenie tutejszych, niestety! nie spotykały żadnego z naszej strony przeciwdziałania; szkodliwa dla nas propaganda działała wciąż za pomocą pras drukarskich zagranicznych i omówień między wierszami tutejszych gazet. Wśród takich to warunków wzrastało młode pokolenie włościan. Prawda, nie dochodziły do nich ani krakowskie, ani lwowskie gazety, lecz nie dawaliśmy żadnego odporu tym niewygodnym podszeptom, które z różnych stron dochodziły tutejszego włościanina. Pokładaliśmy wielkie nadzieje na niewzruszoności wrażenia, jakie wywołał ukaz 19 go lutego 1864 r.

„Co prawda, tutejszy włościanin nie objawia jeszcze nieprawomyślności, lecz na nieskończoną prawomyślność bezrozumnem jest wciąż liczyć. A myśmy do przeszłego roku nie przypomnieli niczem temu włościaninowi, co zrobiono dla niego dwadzieścia jeden lat temu. Tylko w roku zeszłym wydrukowano *Opowiadanie starego Macieja*. Co, zapytamy, czytali i czytają piśmienni z liczby tutejszych włościan? Co więcej, prócz ksiąg do nabożeństwa i w ogóle książek treści religijnej lub *Przeglądu Katolickiego*? Nie mamy nic przeciwko książkom czysto-religijnego charakteru i nic przeciwko *Przeglądowi Katolickiemu* — wydawnictwu cenzuralnemu. W nich nie ma nic szkodliwego, nic jadowitego; lecz nie ma również wielu takich rzeczy, którebyśmy pragnęli widzieć w wydawnictwach, przeznaczonych dla mas ludowych. Nie mówiąc już o książkach treści religijnej, nie pamiętamy, żeby w *Przeglądzie Katolickim* spotkać się można było z czemkolwiek przypominającem czytelnikowi—włościaninowi, co winien jest Cesarzowi Aleksandrowi II? Nie pamiętamy także i tego, żeby w tym organie mówiono o obowiązkach poddanego i obywatela do władzy rządzącej, i o tem, że poddani jednego cesarza i obywatele jednego państwa, chociaż różni wiarą i narodowością powinni uważać się za braci. Że *Przegląd Katolicki* wychowuje dobrych katolików, tego nie zaprzeczamy: lecz żeby wydawnictwo to wychowywało dobrych obywateli rosyjskich i wiernych poddanych Cesarza Rosyjskiego, o tem pozwolimy sobie wątpić.

„Oto, dla czego musimy wziąć w swoje ręce tę sprawę i zająć się dostarczaniem tutejszemu ludowi wiejskiemu zdrowego i pożytecznego pokarmu umysłowego. Wikła to i tak już trudne nasze zadanie w Królestwie Polskiem, lecz cóż robić? Polscy działacze zmuszają nas zajmować ich miejsca na wszystkich stanowiskach... *Tu l'a voulu Georges Dandin, tu l'a voulu!...*"

Prawit. Wiestnik donosi:

„Z powoda puszczenia w obieg XIII zeszytu wydawnictwa ministeryum spraw wewnętrznych, p. t.: *Zabytki starożytności rosyjskich w guberniach zachodnich*, akademik zwyczajny A. Byczkow, na posiedzeniu wydziału języka i literatury rosyjskiej Cesarskiej Akademii Nauk, odczytał 7 (19) grudnia r. b. następny, napisany przezeń memoryał:

„Tom obecny Zabytków starożytności rosyjskich, podobnie jak poprzedzający VII, stanowi zjawisko pocieszające w naszej literaturze, i naocznie, w szeregu różnorodnych monografij, opartych na danych istniejących, na dokumentach archiwalnych i badaniach puszczonych w niepamięć, przekonywa, że Ruś Chełmska (gubernie Lubelska i Siedlecka) stanowią część organiczną ziemi rosyjskiej, tudzież że prawie w całości zamieszkana jest przez plemię rosyjskie, które wyznawało religię prawosławną. Zarówno zabytki architektury, jak ocalone zabytki rękopiśmienne i drukowane, lubo żarliwie niszczone przez polaków i jezuitów, nareszcie mowa rosyjska, pieśni i obyczaje rosyjskie świadczą, że ta kraina była rosyjską od wieków. Pomiędzy artykułami zamieszczonymi w tomie VIII, zwracają uwagę nader ciekawe monografie historyczne: Szołkowicza o granicach Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewsko-Ruskiego, Małyszewskiego o sejmie lubelskim 1569, Kojałowicza o przyłączeniu Podlasia do Polski na sejmie 1569 roku; żywot biskupa lwowskiego Gedeona Bałabana, pseudo-męczennika unickiego Jozafata Kuncewicza, biskupa łuckiego Cyrylla Terleckiego, oraz kijowskiego metropolity unickiego Hipacyusza Pocieja, pierwszych współpracowników unii. Dwa pierwsze z tych życiorysów napisał M. Petrow, a dwa ostatnie Or. Lewickij. Również pełna jest żywego interesu monografia Stankiewicza o ihumenie Atanazym Filipowiczu, oparta w pewnej części na dokumentach dotąd nieogłoszonych. Artykuł Pawłowa o Kormczej księdze duchownego lubelskiego Bazylego, pisanej w r. 1604, oraz artykuł Straszkiewicza o ustnej literaturze na Rusi Chełmskiej i Podlaskiej, mają związek bezpośredni z pracami naszego wydziału i zawierają sporo zajmujących danych. Do tomu VIII załączono album rysunków, pomiędzy którymi znajdujemy kilka facsimilów rękopismów pisanych lub też przechowywanych na Chełmszczyźnie. Niepodobna nie wynurzyć najgłębszej wdzięczności dla p. Batiuszkowa, który tak żarliwie i z taką znajomością rzeczy pracuje nad upowszechnieniem u nas i za granicą należytego poglądu na losy historyczne ziem oderwanych niegdyś od Rosyi przez Polskę i przez ciąg wielu wieków pozostających pod jej uciskiem."

„Po wysłuchaniu powyższego memoryału, wydział Akademii, uznając opinię p. A. Byczkowa za zupełnie słuszną, postanowił: Wynurzyć P. M. Batiuszkowowi szczere współczucie Akademii Nauk dla tego świetnie wykonanego i pożytecznego wydawnictwa."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Tygodnik powszechny skończył swój żywot a—należy przyznać--skończył uczciwie. Do ostatniego numeru nie zauważyliśmy żadnej niedbałości, owszem, nawet pewną staranność.

Cholera ukazała się w Tryeście i Wenecyi.

Plagiat. Dr. J. L. w osobno odbitym i nadesłanym nam artykule dowodzi, że dr. L. German w ostatniej swej pracy *Mitologia dla młodzieży* (Kraków 1886) dopuścił się plagiatu z dzieł Minckwitza i Gölla.

Studenci wyższych zakładów naukowych według nowego rozporządzenia przy spotkaniu się z osobami rodziny cesarskiej obowiązani są stawać frontem i salutować na sposób wojskowy, przedstawicielom zaś wyższej władzy oraz zwierzchności naukowej tylko salutować.

Proces o potwarz. Profesorowie akademii medycznej w Petersburgu pp. Leshaft i Gruber oddawna kłócą się między sobą. Obecnie jeden z uniwersytetów rosyjskich zawezwał pierwszego z nich na katedrę anatomii i zapytał p. Grubera o zdanie co do prac kolegi. P. Gruber oświadczył, że jedno z dzieł p. Leshafta jest plagiatem z jego pracy. Wtedy p. Leshaft zapozwał przeciwnika do sądu o potwarz. Ciekawa rzecz, czy też sąd uzna się za kompetentnego do wyrokowania w nader specyalnej sprawie naukowej.

Obraz Wereszczagina—*Zmartwychwstanie Chrystusa*, wystawiony w Wiedniu, oblał ktoś witryolejem. Malowidło jednak nie zostało uszkodzone.

Akademia krakowska zamierza wydać w r. b. (1886), jako w trzechsetną rocznicę śmierci Batorego, zbiór najważniejszych dokumentów, aktów i dyaryuszów odnoszących się do panowania tego króla.

Los wydawnictwa uczonego. Nie rosprzedana dotychczas znaczna część nakładu *Biblioteki umiejętności lekarskich* przeszła w ręce antykwaryuszów po kop. 6 za funt.

Budowa kolei z Chełma przez Włodawę do Brześcia rozpocznie się na wiosnę.

Cukier Ogólna produkcya cukru w państwie rosyjskiem w kampanii tegorocznej wyniesie około 27,440,000 pudów, z roku zeszłego pozostało 680,000, ponieważ zaś na konsumcyą miejscową potrzeba 22 milionów, pozostaje zatem na wywóz i w zapasie 6 mil. pudów. Wywóz cukru premiowanego doszedł w roku ubiegłym do 3,132,000 pudów.

Wileński bank ziemski wystawił na sprzedaż 350 majątków w 5 guberniach t. z. północno zachodnich. Oprócz tego petersburski bank wzajemnego kredytu ogłosił licytacyę kilkunastu majątków nabytych przez rosyan na prawach wyjątkowych.

Resursa rzemieślnicza. P. E. Łojko podał do władzy projekt urządzenia resursy rzemieślniczej, który mógłby uzyskać zatwierdzenie, gdyby go podpisali starsi zgromadzeń. Ci jednak nie zgodzili się na to, ponieważ p. Łojko postawił za warunek, że on będzie dożywotnim zarządcą instytucyi.

Upadek tkactwa. Od roku 1884 liczba tkaczów w Zduńskiej Woli zmniejszyła się o 2,518 osób; w Ozorkowie zaś zamknięto 25 zakładów tkackich, w których pracowało około 280 robotników.

Drogi szosowe. W gubernii wołyńskiej w r. 1886 i 87 rozpocznie się budowa dróg szosowych, około 300 wiorst długości.

Zjazd młynarzy odbędzie się w Warszawie, w drugiej połowie stycznia.

Dokładna wiadomość. *Kur. warsz.* pisze: „Oryentalista Kruszewski mianowany został profesorem w uniwersytecie kazańskim. Pochodzi z Wilna, kształcił się w Petersburgu." Tymczasem prof. Kruszewski wykłada gramatykę porównawczą i jest slawistą, pochodzi z Wołynia, uniwersytet zaś skończył w Warszawie.

Szkoły techniczne otrzymają jednakową ustawę i podlegać będą ściślej inspekcyi władz państwowych. Dyrektorami tych zakładów będą mogli zostać tylko wykwalifikowani technicy.

Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu liczy 312 członków zwyczajnych, 20 wieczystych i 38 honorowych. Na prezesa wybrano obecnie Augusta Cieszkowskiego.

Teatr polski w Petersburgu urządza w r. b. niejaki p. Stocki.

Zmarli. Artur Bartels, autor znanych powszechnie piosenek i utworów satyrycznych.

— Mikołaj Wisłocki, archeolog-amator.

— Jan Posturzyński, obywatel ziemski i adwokat, b. poseł na sejm Królestwa polskiego przed 1830 r.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Reszta z kosztów zbiorowej fotografii rs. 8, Dr. Gierszyński z Ouarville rs. 4, zebrane na zabawie u Adw. Hubermana rs. 20.

Dla studentów warszawskiego uniwersytetu. Dr. Gierszyński z Ouarville rs. 4, A. Z. O. rs. 17.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Декабря 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.